

ROK II. NR. 7
WARSZAWA
SOBOTA
17-II-1934 R.
CENA 50 GR.

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

J. E. SKIWSKI

JESZCZE RAZ ŻYCIE UŁATWIONE

DWA FRONTY

Niedawno to czasy, kiedy fejetony Boya na temat „dziewic konsystorskich” i innych ciekawostek naszej obiegowej moralności, zwłaszcza moralności płciowej, były jedynym niemal przedmiotem niekończących się dyskusyj. Dziś — nie mówi się o tem prawie. Ale to milczenie nie oznacza przedawnienia zagadnień. Owszem, żyją one nadal i nadal są nierozwiązane. Ale właśnie dziś, kiedy zyskałyśmy dystans do tematu, można pokusić się o syntezę.

Były i są, jak wówczas, tak dzisiaj, dwa fronty ideowe w sprawach moralności społecznej. Front minimalizmu i maksymalizmu etycznego. Minimalizm reprezentował wówczas Boy, maksymalizm — jego przeciwnicy.

Teza minimalistyczna dałaby się ująć w tę formułę. „Skoro rygoryzm etyczny jest w praktyce niewykonalny, trzeba stworzyć takie prawo i taką moralność, które byłyby łatwe i wykonalne”. Argumentów na poparcie tej tezy nie potrzebował Boy szukać daleko. Życie dostarczyło mu ich poddostatkiem. Kościół katolicki, — mówił Boy — głosi zasadę nierozzerwalności małżeństwa — w istocie zaś, dopuszczając unieważnienie, godzi się na rozwód. Różnice pomiędzy jednym a drugim są czysto formalne, dialektyczne. — Zwalczamy prostytucję, w istocie zaś korzystamy z jej usług. Oburzamy się na spędzanie płodu, a sami doradzamy ten zabieg lub uciekamy się do niego. A skoro tak jest, konkludował Boy, to czyż nie lepiej przyjąć takie prawa i takie normy moralno-obyczajowe, które byłyby w zgodzie z naszym postępowaniem? Będzie to uczciwsze, oczyści naszą atmosferę od obłudy.

W tem ujęciu moralność jest tylko usankcjonowaniem istniejącego stanu rzeczy. Idealizm etyczny podciąga życie do swych norm; naturalizm (minimalizm) kodyfikuje tylko i normuje to co zastało. Czy taka moralność jest jeszcze moralnością — to kwestja wątpliwa. Ale nie będę kładł nacisku na teoretyczną stronę zagadnienia.

Jak przedstawia się w praktyce ów minimalizm etyczny, jaki jest jego program? Pamiętamy to wszyscy. Rozwody, legalizacja przerywania ciąży, zniesienie kontroli nad prostytucją, niekaralność zbrojeń płciowych. Tyle programu prawnego. Wślad za reformą prawną idzie reforma obyczajowa. Jak wyglądałoby społeczeństwo zreformowane w myśl przewodnich idei Boya? Byłoby ono nacechowane zupełną niwelacją uczuciową i moralną. Zazdrość uznana za przesąd, przyjęta wspólność kobiet, tolerowane, nawet otaczane opieką małżeństwa „koleżeńskie”, społeczne równouprawnienie prostytucji i zbrojeńców. Ta obyczajowo-reformatorska strona działalności Boya jest dla reprezentowanej przez niego ideologii istotna. Tu dopiero dochodzimy do właściwej koncepcji moralnej świata rządzonego w myśl hasła krańcowego liberalizmu. Tu stykamy się ze stroną emocjonalną ideologii. Zasadniczym błędem przeciwników Boya było dyskutowanie łączne jego koncepcji prawnych i obyczajowych. To pomieszanie — jak zobaczymy — stało się źródłem fatalnych nieporozumień.

Przy okazji nawiasowa uwaga pod adresem nieprzyjaciół Boya. Nic niedorzeczniejszego niż do obrzydzenia powtarzana opinja o Boyu, jako o „rozpustniku”, człowieku,

„holdującym zmysłom”, „erotomanie”. W Boyu niema nic absolutnie z tego zmysłowego żarłocstwa, które np. cechuje D'Annunzia. Boy nie jest żadnym wielkim żarłokiem życia. Jego szaleństwa — sądząc z pism jego — muszą być raczej monotonne. Wielbiciel zmysłowej urody życia nie robiłby sobie nigdy tak lekko farsy z tematów erotycznych, za czem właśnie Boy przepada. Nie rozporządzałby się tak na zimno, tak po literacku, z zawodowym polowaniem na pointę najdrażliwszymi sprawami serca i zmysłów ludzkich. Co do mnie, to nie znam bardziej niezmysłowej i mniej „upajającej” lektury niż fejetony Boya.

Np. jego zwalczanie zazdrości jest literacką parafrazą popularnego w pewnych środowiskach powiedzenia „to się przecież nie wymyśli”. Zwracam uwagę na ten rys publicystyki Boya jak na rys reprezentatywny nie tylko dla pisarza, ale dla prądu ideowego — jeśli tak wyrazić się wolno — który Boy reprezentuje.

Wartość tego programu reformy obyczajowej chciałbym przedyskutować na gruncie czysto empirycznym, bez balastu moralistyk.

Czy wytrzyma on próbę doświadczenia? — Oto pytanie, na które będę się starał odpowiedzieć. Każdy program reformy obyczajów jest obliczony na pewien gatunek człowieka. O powodzeniu reformy decyduje to, czy ten gatunek jest panujący, czy oparcie praw obyczajowych na jego upodobaniach i aspiracjach znajdzie odzew w społeczeństwie.

Jak wygląda człowiek, który posłużył za podstawę kalkulacyjną programowi obyczajowemu Boya i jego zwolenników? — Skreśliśmy w grubym zarysie jego portret. Najczelny jego rysem jest brak zmysłu selekcji. W sprawach erotycznych idzie za najbliższym popędem, i nie rozróżnia miłości od coitusu. Zato ma wielki respekt dla swoich zachcianek płciowych. Lubi dużo na ten temat rozprawiać. Nie uznaje zazdrości, bo ta komplikuje życie. Ponieważ jest za swobodnym i regulowanym jedynie apetytem płciowym reżymem seksualnym, więc stosunek jego do prostytucji jest tolerancyjny, niemal przyjazny. Chciałby prostytucję z jednej strony uchronić przed pogardą, z drugiej, poprawić jej warunki bytu. Człowieka tego cechuje brak silniejszych przywiązań w dziedzinie uczuciowej, z czem łączy się pewien ton letniej zyczliwości dla „wszystkich cierpiących”. Jednym jego dążeniem, w zakresie społecznym, jedyną dostępną mu formą idealizmu jest uwolnić człowieka od cierpienia. Jak ma wyglądać, jaki ideał ma realizować owo upragnione życie bez cierpienia — na ten temat człowiek niema nic do powiedzenia. W tym kierunku jego wyobraźnia nie działa. Ma zresztą na to pytanie gotową odpowiedź: „Tyle jest do zrobienia w zakresie realizacji postulatów humanitarnych, że nie czas o tem teraz rozprawiać”. Ponieważ jednak czems to życie wypełnić musi, wypełnia je więc, że tak powiem, bieżącą zachcianką. Jest to w rezultacie ideał życia fizjologicznego, skomplikowanego przez intelekt, osłodzonego powierzchowną uczuciowością.

Przyjmując za podstawę kalkulacji człowieka tego właśnie typu, dojdzie się z konieczności do takiej koncepcji reformy obyczajów, o jaką walczył Boy i tow.

Ale chodzi o to, czy ta podstawa jest prawdziwa. Czy istotnie w świecie dzisiejszym panuje człowiek fizjologiczny?

Sądzę, że nie wymaga dłuższego dowodzenia stwierdzenie, że tak nie jest. Ze przeciwnie, ten człowiek jest właśnie pogiębiony, a przeciwstawia mu się człowiek inny, człowiek-realizator, o nastawieniu motorycznym, człowieka którego świat wyobrażeń i aspiracji przekracza nieskończenie ramy uszycia jednostki czy „szczęśliwości społecznej”. Humanityści zapewne powiedzą mi, że właśnie ów typ człowieka zdobywczo obdarzony jest ogromną dozą „fizjologizmu”; na dowód przytoczą wszystkie jego okrucieństwa, zachłanność, krwiożerczość. Na to odpowiem, że choć fakty mogą być prawdziwe, to jednak trzeba pamiętać, że ten właśnie człowiek zdobywa się na poświęcenie, wyrzeczenie, że nie cofa się przed cierpieniem, że potrafi być heroiczny i bezinteresowny. Fizjologizm letniego hedonisty nie daje się nikomu we znaki, ale zuboża życie, wyjawia je z treści. Brutalność zdobywców wnosi niewątpliwie dużo zła, ale — mówili — dramatyzuje życie w stylu szlachetniejszym.

Jeśli przyjmiemy za pewne — a trudnoby nie przyjąć — że panującym dzisiaj człowiekiem jest człowiek-realizator, a nie człowiek fizjologiczny, to musimy również uznać, że reforma obyczajów, którą proponują Boy i tow. potrzebom epoki nie odpowiada i szans realizacji nie ma. Wiara w jej powodzenie opiera się na pewnym wielce dla Boya charakterystycznym nieporozumieniu. Ponieważ młodzież jego czasów była hulaszczą i rozwiązłą, a ówczesne starsze pokolenie żyło tradycją walki i cierpienia, więc Boyowi wydaje się, że tak być musi zawsze; że raz rozkręcona sprężyna rygoryzmu moralnego musi rozkręcać się nadal, że działa tu jakiś raz na zawsze ustawiony niezawodny mechanizm. Wielkie też jest zdziwienie Boya, skoro spotyka się z młodzieżą, głoszącą hasła cnoty i wyrzeczenia. Kiwa głową, niedowierza — to chyba obłuda...

NA PRAWEM SKRZYDLE

Te słabe strony dialektyki Boya pochwyliła skwapliwie nasza prawica i zużyła jako znakomitą okazję do akcji polemicznej, co więcej, do przeciwstawienia programowi liberalnemu Boya — swojego programu. Znamy go dobrze. Wystarczy Boyowskie „tak” zastąpić endeckiem „nie” i naodwrot, a program będzie gotów. A zatem głośno proklamowana nierozzerwalność małżeństwa, potępienie „wolnej miłości”, nieuznawanie rozwodów, potępienie prostytucji i odgródzenie jej od społeczeństwa zdrowego. Tyle programu. Poza tem szeroko rozsnuta frazeologia heroiczna. Ideał życia ofiarnego, etyka wyrzeczenia, prymat narodu przed jednostką, potępienie indywidualizmu.

Ten program nietrudnoby poddać krytyce, która wykazałaby w wielu punktach jego iluzoryczność. Nietrudnoby też wykazać (co uczyniłem na innym miejscu) jak dalece rozbieżny jest program nacjonalizmu i katolicyzmu, jak pod hasłami brzmiaćmi niemal identycznie kryją się rozmaite tendencje, rozmaite treści myślowe i uczuciowe. Ale nie o tem tu będziemy mówili. Chodzi nam przeciwie o stronę empiryczną, o praktykę.

T R E Ś Ć:

J. E. SKIWSKI
**JESZCZE RAZ
ŻYCIE
UŁATWIONE**
H. STAŻEWSKI
**O TRADYCJI,
MODERNIZMIE
I KLASYCYZMIE**
J. LORENTOWICZ
**ZAGADNIENIE
STYLU BERENTA**
HELENA ROMER-
OCHENKOWSKA
**MIECZYŚŁAW
KARŁOWICZ**
WŁADYSŁAW SEBYŁA
N O C
TYMON TERLECKI
PROBLEMY
JAN ULATOWSKI
ZDEMASKOWANIE
CONRADA
J. E. SKIWSKI
HERETYK
NA AMBONIE
K O L U M N A
ARCHITEKTURY
JÓZEF SZANAJCA
ROZBUDOWA
WARSZAWY
A. WIECZORKIEWICZ
D A W N A
ARCHITEKTURA

Otóż ze stanowiska praktycznego zauważyć trzeba, że każdy program maksymalistyczny jest szczególnie narażony na kompromitację. Program, żądający od człowieka bardzo wiele, nakłada na głoszących bardzo duże i bardzo ciężkie obowiązki, pod groźbą zachwiania się całego systemu w razie niżenia stopy życiowej czy ideowej przywódców. Jest społecznie niebezpieczny dlatego, że zbyt silnie uzależniony od ludzi, którzy go głoszą i nazewnają reprezentują. Lada większe zachwianie się tych ludzi, lada ich słabość — otwiera od wzniosłości drogę nie tylko do śmieszności, ale do nędzy moralnej. I jeśli te wszystkie niebezpieczeństwa istnieją w każdym społeczeństwie i w każdym groźną, w razie silniejszego zachwiania się czółowców, kompromitacją i ruiną systemu — to a fortiori istnieje to niebezpieczeństwo u nas, gdzie — powiedzmy otwarcie — żelazny charakter, które gwarantowałyby konsekwencję i trwałość „spartańskiej moralności” jest mniej niż gdziekolwiek. Wiemy przecie, jakim trybem to u nas idzie, wiemy, że głosicielami hasel ascetyczno-katolickich są u nas często protestanci, roznodnicy, którzy tam i zpowrotem, ile tylko dusza i ciało zapragnie, przeprowadzali się z wyznania na wyznanie. Oni to są właśnie filarami gazetkowej nierozzerwalności i gromicielami zepsutego świata. Niebezpieczeństwo takiej „propagandy moralności” czują sami endecy, skoro mają się środków tak rozpaczliwych jak obrona obłudy. Konkluduj: każdy rygoryzm etyczny prowadzony na szeroką skalę tai w sobie niebezpieczeństwo kompromitacji wskutek słabości ludzkiej; a wtedy reakcja zepsucia wzmagą się, mając na swoje usprawiedliwienie upadki wodzów. U nas zaś w szczególności jest to niebezpieczeństwo oczywiście i groźne.

ALTERNATYWA

Tak jak przedstawiliśmy sprawę dotychczas, mieliśmy do wyboru dwie możliwości: albo moralność łatwą, nie wymagającą wiele od człowieka, ale poniżającą jego godność. Albo moralność wysoką, rygorystyczną, ale narażoną wечно na groźną kompromitację. Albo system fałszywy ale wykonalny, albo prawdziwy, ale niewykonalny. Albo fałsz w założeniu, albo fałsz w realizacji. Wylania się pytanie: za czym dać głos? Czy za moralnością minimalistyczną, do której ludzie dostosować się mogą z łatwością — czy przeciwnie, za maksymalistyczną, która jest zgóry skazana na niepowodzenie? Czy być w zgodzie z głoszonemi zasadami, a w niezgodzie z wyższym powołaniem człowieka; czy też stworzyć sobie wysokie o tem powołaniu pojęcie, ale sprzeniewierzać mu się w życiu na każdym kroku?

Chyba nie omył się, odpowiadając, że żadne z tych wyjść nie jest zadowalające. Chcemy takiej moralności i takiego układu stosunków społecznych, przy których zarówno strona teoretyczna jak praktyczna stałyby na wysokości zadania. Chcemy takiej moralności społecznej, która zaspakaja nasze aspiracje idealistyczne, ale która również jest wykonalna i praktyczna.

WYJSCIE ISTNIEJE

Co zarzucamy ideologii życia ułatwionego? — To, że przy całej swojej łatwości, nie rozumie natury człowieka, nie zaspakaja jego wyższych i zupełnie realnych aspiracji.

Jedna z pań, która wiele zapału i trudu poświęca ideologii życia ułatwionego, lubi powtarzać, że nasze potrzeby płciowe są niezmiernie złożone i że należy o nich jak najwięcej i jak najdokładniej mówić. Nie trzymać pod korcem naszych organów płciowych, owszem, eksponować je na widok publiczny i szeroko o nich opowiadać. Dla czego? Bo wtedy ostatecznie dowiemy się, co każdemu z nas potrzeba. Jak się to przemilcza, to człowiek męczy się i nie znajduje lekarstwa na swoje dolegliwości. A tak, jał się wygada, to mu może dobry ludzie poradzą jak ma najkorzystniej swoje libido ulokować.

Takie rozumowanie nie jest nawet zupełnie nierealne. Jeśli dla kogoś erotyka znaczy tyle co seksualizm, może na takiej teorii poprzestać. Ale o to właśnie chodzi, że większość zna jeszcze ten czynnik, który nazywa się „miłość”, a który z seksualizmem wchodzi nieraz w stosunki wielce skomplikowane. Seksualne sejmikowanie nie

ra te konflikty nie poradzi. Człowiek nie chce być sprowadzony do wymiarów fizjologicznych. To jest prawda. Moralność społeczna, która tej prawdy nie rozumie, jest przy całej swej „wykonalności” fikcją. Jest moralnością degradacji. Z tego samego powodu fikcją jest domaganie się społecznego równouprawnienia prostytucji czy pederastji. Albo musimy się zgodzić na sprostywanie społeczeństwa, albo stosunek nasz do prostytucji musi być negatywny. Niemożliwe jest jej społeczne równouprawnienie. Właśnie to stanowisko pośrednie jest niemożliwe. Ci którzy usiłują je zająć, albo są obłudni i pod pretekstem tolerancji chcą przemycić rozwiązłość, albo nie zdają sobie sprawy z podstawowych sprzeczności tkwiących pomiędzy dwoma ideałami znoszącymi się wzajemnie.

A teraz odwrotna strona medalu: Czy da się utrzymać rygoryzm moralny domagający się ujęcia w surowe normy prawne obyczajowości społeczeństwa?

Nie, nie da się utrzymać, gdyż stoi temu na przeszkodzie słaba natura ludzka. Surowe prawa nie prowadzą do ulepszenia obyczajów, raczej sprzyjają obłudzie i pobudzają do wynalazczości skrupowaną namietność. Pomijając już, że specjalnie na naszym terenie byłyby one szczególnie karykaturalne. W rezultacie, zamiast uzdrowić obyczaje — prowadzą do ich upadku.

Wyjście jest jedno: liberalne prawa i mocna dyscyplina obyczajowa. Można być zwolennikiem niekaralności przerywania

cięży, można pod pewnymi warunkami godzić się na rozwody, można być za zniesieniem paragrafów karzących pederastję. W niczem to nie sprzeciwia się utrzymaniu znacznej dyscypliny obyczajowej w społeczeństwie. Dyscypliny, która by przedewszystkiem zmierzała do usunięcia spraw seksualnych na najdalszy plan, która by podjęła walkę z pornografią, która by odciążała wyobraźnię — zwłaszcza młodzieży — od ciśnienia seksualjów. Bo seksualizm to ma do siebie, że im bardziej mu dogadzać, tem więcej rosną jego wymagania. Polityka ugody z nim nie prowadzi do jego opanowania, raczej do rozrostu. System środków, których należałoby w takiej akcji użyć jest duży i wymagałby szczegółowego omówienia. Chodzi mi o zasadę.

Nie chcemy drakońskich praw, obdarzających prostytutkę „czarną książeczką” i stawiających ją poza nawias społeczeństwa. Ale chcemy izolować się od niej dopóki swój zawód uprawia. Nie chcemy państwa policyjnego, które usurpowałoby sobie prawo do wglądania w nasze życie prywatne i rozpostarłoby kontrolę nad alkoholem. Ale nie chcemy również takich norm obyczajowych, które przekreślają granicę pomiędzy domem prywatnym i publicznym. Chcemy praw, łagodnych, obok moralności surowej. Nie będziemy kamienowali cudzołóżnicy, ale zato będziemy bardziej krytyczni wobec samych siebie, pozostając pod moralną presją idealu.

Czy taki układ stosunków usuwa wszyst-

kie trudności? Nie, nie usuwa. Konflikty moralne, tam zwłaszcza gdzie miłość wchodzi w grę, wечно będą nękać człowieka. Ale jeśli nawet zbłądzimy, jeśli nie wytrzymamy walki z życiem, to jednak złamani uchronimy się przynajmniej od piętna obłudy, nieodłącznej od ludzi, stojących na gruncie praw bezwzględnych, nieublaganych, stawiających pod pręgierz każde uchybienie zasadzie. System, który tutaj proponuję odpowiada przedewszystkiem założeniem etyki chrześcijańskiej, której nieśmiertelnym symbolem pozostaną na weczne czasy słowa Chrystusa, wyrzeczone do jawno grzesznicy i do jej oskarżycieli. Pozostaje on też w zgodzie z naszym charakterem narodowym. Brzydzimy się szpiegostwa, podpatrywania, wtrącania do życia osobistego bliźniego i ustanawiania praw, któreby takie postępowanie zalecały, bodaj tolerowały. Miłowaliśmy zawsze wolność i miłować ją będziemy. Do wychowania obywatela dyscyplinowanego moralnie dojść musimy i dojdziemy naszymi własnymi metodami zgodnymi z naszą tradycją, naszym obyczajem, i naszym poszanowaniem indywidualności ludzkiej. Zadna soldatesca, żaden usankcjonowany terror prawny o zabarwieniu lewicowym czy prawicowym u nas się nie przyjmie. Ten, kto tę prawdę wcześniej spostrzeże, do tego należy przyszłość.

Tyle założeń ogólnych. Poruszone sprawy wymagają oczywiście dyskusji bardziej szczegółowej. Podejmę niektóre jej punkty. Ale o tem innym razem.

H. STAŻEWSKI

O TRADYCJI, MODERNIZMIE I KLASYCYZMIE

(Odpowiedź prof. Ślendrańskiemu)

W Nr. 1 „Pionu” (1934 r.) w wywiadzie udzielonym redakcji prof. Ślendrański wypowiada swoje poglądy na stan dzisiejszej sztuki. Występując przeciwko modernizmowi, interpretuje go zbyt dowolnie. Między innymi czytamy w wywiadzie:

„Wszędzie t. zw. lewe kierunki spadają i twórczość artystyczna idzie po zdrowej linii rozwojowej. Impresjonizm był rewolucją i kategorią zerwania z poprzedzającą go metodą, wylomem i przerwą w dotychczasowej ewolucji. Zaczęło się od usunięcia szkoły. Impresjonizm usuwa ją na drugi plan. Przed nią stawia indywidualność.

Na tle krańcowego indywidualizmu powstaje żądza „nowej” sztuki, chęć zupełnego zerwania z przeszłością. Zapomniano jednak, że niema sztuki „nowej”, ani „starej”, a może być tylko „inna”, odmienna”.

Jeśli chodzi o modernizm dzisiejszy, nigdy nie był on uznany przez szerszy ogół społeczeństwa. Miał tylko szczupłe grono zwolenników wśród uświadomionych sfer, — niezaprzeczone oddziaływanie jego na szersze masy odbywało się pośrednio, przez przemysł artystyczny i sztukę użytkową.

Rzeczą przedwczesną byłoby mówić o upadku modernizmu tylko dlatego, że coraz mniej daje się słyszeć o nowych manifestach, powstawaniu nowych kierunków i t. d. Jest to tylko objawem coraz większego sta-

bilizowania się modernizmu. Zamiast pogoni za nowością jest zatrzymanie się na metodycznej pracy, która jest stopniową kontynuacją osiągniętych już zdobyczy.

Impresjonizm nigdy nie był zerwaniem z tradycją. Dziś możemy stwierdzić historycznie, że był on jednym z ogniw w ciągłości ewolucyjnej sztuki, był koniecznym i konsekwentnym przejawem rozwoju. Aczkolwiek przeciwstawiał się panującemu poprzednio kryterjom sztuki, był kontynuacją okresu naturalizmu, wprowadzając do niego nowe zdobycze, — był odzwierciedleniem ówczesnego życia i wiedzy. Impresjonizm nigdy nie był sztuką opartą na indywidualizmie. Był on kolektywnym eksperymentem kilkunastu malarzy, którzy zasadę naukową, promienia świetlnego rozszczepionego na barwy zasadnicze, stosowali jako wyraz nowego odczuwania artystycznego. Impresjonizm wprawdzie opiera się na ścisłej obserwacji natury, jednakże nie jest wyrażeniem indywidualnego odczuwania natury, a zawiera określone zasady kształtowania formy. Zasady te są już dziś wykładane w szkołach artystycznych.

Impresjonizm odegrał już swoją rolę, stał się kierunkiem akademickim. Ustąpił on miejsca innym kierunkom. Przez Czannę i kubizm wprowadzone zostały do sztuki nowe wartości, jednakowoż o żywotności impresjonizmu świadczy powracanie do pewnych jego założeń, niedostatecznie wykorzystanych.

Cytowani przez Ślendrańskiego artyści polscy, Stanisławski i Pawliszak, nie mieli nic wspólnego z impresjonizmem. Ich obrazy były raczej „tylko prymitywnymi notatkami”, dlatego też absolutnie nie można ich zaliczyć do „szkoły” impresjonistów. Niewłaściwie też wymienia prof. Ślendrański futurizm i secesję, jako jedyne pochodne impresjonizmu. Zapomina, że pochodną był również kubizm, który był nawiązaniem do tradycji przedimpresjonistycznej (Dela-croix i Ingres).

Zgodzę się z poglądem Ślendrańskiego, że impresjonizm lekceważył rzemiosło i kwestję jakości i doboru materiału.

Technika obrazów impresjonistycznych wywoływać musi nieobliczalne reakcje chemiczne. Równie niszczytelką robotę sprawia kurz, osiadający na chropowatej ich fakturze. Jednakowoż późniejsze kierunki sztuki nowoczesnej przyniosły większe zainteresowanie się chemją malarską, precyzyjniejszą i trwalszą fakturą.

Również zgodzę się z poglądem, że niema sztuki „nowej” ani „starej”, zawiera ona pierwiastki wieczne, niezmiennie, — zmienia się tylko metoda, zasada kształtowania formy. Style i kierunki w sztuce są objawem odmiennych systemów formy, wynikających z formy życia danej epoki i streszczających to, co nowego dała dana epoka.

W skrajnym modernizmie manifestują się pewne cechy wspólne z pojęciami klasycyzmu. Dążenie do spokoju i równowagi (harmonji wyrazu duchowego i materialnego) reprezentuje nowego ducha zarówno w sztuce jak i w życiu. Dokonana już w dzisiejszej sztuce, reforma środków, osiąga „czysty” wyraz plastyczny przez formę sublimowaną, uniwersalną. Przywraca równowagę między człowiekiem i naturą.

Gwałtowny rozwój sztuki dzisiejszej, jej niesłychana intensywność, bogactwo kierunków i hasel i jej natężony podkład intelektualny i emocjonalny są reakcją na groźny charakter przełomu ekonomiczno-społecznego. Bezustanne rozwalanie starych kategorii zjawisk jest jednym z najważniejszych działań sztuki i ma swe źródło w podstawowej działalności sztuki: uświadamiania społeczeństwu jego stanu duchowego. Motywy sztuki są symbolami przesłanek myśli społecznej.

Artysta nowoczesny musi być tak bogaty wewnątrz, by starczyć, nasuwającemu się stale zewnątrz, życiowemu materiałowi.

Dlatego też nie można myśleć o stworzeniu dziś klasycyzmu, któryby nie był związany z życiem aktualnym, a opartym ściśle na wzorach antycznych.

WŁADYSŁAW SEBYŁA

N O C

Wali się noc sinym kamieniem na rozdeptane strzechy chat, przez pomroczyńskich wód przestrzenię świsnął świetlisty bat.

Zaludnić czem? — jakimi snami bezsennej pustki mus? — za dymiącemi zagonami widma samotnych brzoź.

Północny wiatr gwiazdy kołysze, wstęgi fałszywych dróg płyną przez mrok — i ryczy ciszą jakiś ogromny bóg.

Nienasycona wokół czarność wezbranych nocnych wód. — Uciekaj! chroń się! — ja cię przygrnę łąkiem wszechmoonych ud.

J A N
LORENTOWICZ

ZAGADNIENIE STYLU BERENTA

W naszej publicystyce codziennej odezwały się głosy niezadowolenia z powodu języka literackiego Wacława Berenta, jednego z najprzedniejszych stylistów współczesnych. Zjawisko nie jest nowe: zdarzały się ostre ataki przeciw twórcom własnego stylu zarówno u obcych, jak u nas. Wielcy romantycy np. wzruszali ramionami na język Norwida. Bohdan Zaleski płakał w liście do Koźmiana, że „Norwid marnuje dary, maniuje w pismach”. Mickiewicz widział w nim „duszę zaklętą”, a w poezjach autora „Promethidiona” dostregal „napuszonosc”, „nieszczerość i udawanie”. W wiele, wiele lat później Norwid nie istnieje wcale dla Tarasowskiego, a Chmielowski, który usiłował wszystko zrozumieć, chociaż mniej odczuwał istotę poezji, twierdził, że „myśli Norwida były mętne i rozpierchliwe; dbał raczej o piękne, niezwykle wyrażenia, choćby z pogwałceniem gramatyki, aniżeli o harmonijne rozwinięcie pomysłu”.

Z szybkim wzrostem dziennikarstwa nastąpiła taka powszechna niwelacja formy literackiej, że odrębny styl działa drażniaco nawet na tych, którzy gwałcą sami język polski najbardziej groteskowym sloworódtwem. Niedawno czytałem takie zdanie: „Gdyby po „Zywych kamieniach” wkroczyła była krytyka („wiecznie swarliwych”) i rzetelnie wytknęła co złe, martwe, manieryczne, i, uznawszy wysiłek imponujący, orzekła: „nie tędy droga!” — mielibyśmy dziś powiesciopisarza, spadkobiercę Prusa samego”.

Pomijając niespodziane zestawienie Berenta z Prusem, niepodobna uwierzyć, ażeby pedagogika krytyczna (która zawsze jest złudzeniem) mogła zasadniczo zmienić styl autora „Zywych kamieni”, tak jak trudno uwierzyć, aby czyjekolwiek niezadowolenie z prozy pisarza rasowego mogło go nawrócić do bieżącej gwary dziennikarskiej, do różnych „nastawień”, „wnikliwości”, „podejść” i innych kliszowych wyrażań, które „zdobyły publiczność wstępny bojem”.

Legenda o szkodliwym wpływie Miriama jest balamutna i fałszywa. Balamutna — bo cała przepaść dzieli obrazowy, plastyczny język Berenta od patetycznego, emfaticznego stylu Miriama; fałszywa — bo każde nowe dzieło Berenta, obmyślane i opracowywane w ciągu dziesiątków lat, jest zawsze owocem czujnego sądu krytycznego, a ujawniane była najbliżej nawet przyjaciółom dopiero wówczas, gdy jest gotowe do druku.

Berent jest fenomenem odrębnym w naszej prozie twórczej. Zapewnić, że gdyby nie powierzchowna i nieudolna krytyka, to twórca „Zywych kamieni” stałby się „spadkobiercą może Prusa samego”, — znaczy tyleż, co przypuszczać, że gdyby nie pobłażliwość krytyki, to publicysta, którego temperament popycha do najbardziej karkołomnych neologizmów, pisałby prozą równie czystą i piękną, chociaż pozbawioną znamion indywidualnych, jak np. proza prof. Pigonia.

Nieporozumienie tkwi w samej istocie pojmowania stylu pisarskiego. Cóż to jest styl w sztuce wogóle a w twórczości literackiej w szczególności? Określić próbowano wiele. Weźmy pod uwagę dwa stare, klasyczne już niejako. „Styl — to człowiek” — mówił Buffon, t. zn., że istnieje ścisła, fizjologiczna niejaką zależność pomiędzy wrażliwością jednostki twórczej a jej stylem. Na inną płaszczyznę przeniósł sprawę Wolter, twierdząc, że „styl — to rzecz” czyli, że mechanizm, faktura, postawa, fizjonomia wyrażenia zależą w znacznej części od przedmiotu, który je wywołał, od uczuć, myśli, wizji, które w nas obudził, a które mamy wyłożyć nazewną. Ani jedna, ani druga z tych definicji nie wyczerpują przedmiotu, ale uzupełniają się wzajemnie. Styl jest sprawą organiczną, a forma jego zależy całkowicie od budowy naszego mózgu. Powiedzieć pisarzowi wielkiego talentu, tworzącemu lat czterdzieści: zmień swój styl! — znaczy to samo, co zażądać: zmień poprzedz swój nos, bo nam się nie podoba!

Sprawa stylu pisarskiego rzadko bywa u nas roztrząsana. Za czasów niewoli krytyka szukała w utworze literackim przedewszystkiem nauki patryjotycznej a o stylu mówiło się ogólnikami dodatnimi lub ujemnymi. Przyczajenie to nie osłabiło i w Polsce odrodzonej. Utwory literackie służą za pro-



Wacław Berent

rys. Edward Głowacki

tekst do rozważania problemów innej natury, a kwestja formy schodzi zazwyczaj na plan ostatni.

Jedną z lepszych prób analizy stylów dał swego czasu R. de Gourmont. Istnieją — mówi — dwie klasy pisarzy: wrokowcy i wzruszeniowcy. Z danego widoku wrokowiec zatrzyma w sobie wspomnienie w formie obrazu mniej lub więcej jasnego; wzruszeniowiec zaś pamiętać będzie jedynie wzruszenia, które widok w nim obudził. Zdarza się nie raz (ale bardzo rzadko), że pamięć wrokowa i pamięć wzruszeniowa panują w dobrej równowadze w tym samym mózgu. Wzruszeniowcy używają chętnie wszystkiego, co zostało uświęcone obyczajem, t. j. piszą gotowymi zdaniami, utartymi wyrażeniami, przysłowiami, starami metaforami. Wybierają zdania, które wzruszały ich samych, więc — według ich przekonania — muszą także wzruszać innych. „Nie posiadając własnego ogrodu, kupują kwiaty i wierzą, że sami je wyhodowali i zerwali”. Przy tej metodzie zyskują łatwo poklask publiczności. Pospolity czytelnik czuwa więcej wzruszenia wobec zdania banalnego, niż wobec oryginalnego obrazu lub nowego kształtu stylistycznego. Tymczasem pisarz wrokowy tworzy swą wizję tak samo, jak malarz: szuka wyrazów, ich rytmu oraz ich barwy, jak malarz szuka kolorów i ich kombinacji.

Prawdziwy styl jest zawsze pewną „specjalizacją wrażliwości”. Im bardziej pisarz zbliża się do typu czystego „artysty”, tem mniej jest zdolny okazywać swe oblicze w innych objawach działalności społecznej. Tem się tłumaczy „samotnictwo” takich poetów jak Słowacki i Norwid, chociaż sama samotność nie tworzy przecież ani poetów, ani wielkich twórców. Słowacki, „imperator metafory” wzbogacił język polski cudami obrazów i przenośni, ale z wyjątkiem kilku utworów przedśmiertnych) pisał jasno i zrozumiale dla wszystkich. Norwid, który przez cały swój żywot poetycki szukał neologizmów, ażeby myśl jego dostatecznie uwypukliły, pisał stylem za wylim i trudnym, a przecież nie zdawał sobie z tego sprawy. „Mówię — pisał — rzecz, jak jest; kolor biały nie rozwija się przez niuanse”.

Styl Berenta kształtował się powoli. Miał lat dwadzieścia jeden, gdy napisał „Faschowca”. Młody pisarz, który więcej czytał, niż postrzegał, nie może zdobyć odrębnego stylu obrazowego. W „Fachowcu” Berent przeprowadza z talentem rewizję hasła pozytywistów: „idźcie do rzemiosł”, ale pilnuje raczej tezy ogólnej utworu, niż swego stylu, chociaż tu i owdzie padają nowe przenośnie i porównania. Styl własny ukazał się w całym blasku dopiero w dziesięć lat później. Berent myślał zrazu o karierze naukowej. Przez jakiś czas był asystentem katedry biologii w Monachjum. Od tej pory nie gasło w nim nigdy zamiłowanie do nauki. Przeszedł poważne studia przyrodnicze i filozoficzne, tłumaczył Nietzschego, pisał o jego filozofii a gdy, po latach, objął redakcję „Pamiętnika Warszawskiego”, usiłował połączyć w nim literaturę z nauką. Wielkiego znaczenia w pracy twórczej Berenta nabiera fakt, że jest on jednym z najbardziej wykształconych pisarzy polskich. Obserwacja i zaduma nad wielkiem środowiskiem artystycznym wydały „Próchno”. Od tej pory styl Berenta znajduje swój wyraz w trzech kategoriach: postawa wobec zadań sztuki, t. j. troska o najdoskonalszy kształt dzieła, obmyślanego i szlifowanego przez długie lata; syntetyzowanie wybitnych objawów życia społecznego; wreszcie — element najważniejszy — nowe, własne spojrzenie na życie, wyrażone w formie obrazów, porównań i przenośni w doborze wyrazów, konstrukcji zdań oraz budowie całości dzieła.

Olsnienie „Próchnem” było niemal powszechne. „Powieści”, pisanej takim językiem, jeszcze w literaturze polskiej nie było. Rzucano niekiedy uwagi, że „ludzie Próchna” wyglądają tak, jak preparaty w pracowni biologicznej; ale podziw wobec autora wyrażali nawet najoporniejsi. W „Ateneum” pisało, że „w krasopisarstwie naszym, do wytwornej polychromii kilku, do niezrównanych emocji językowych Żeromskiego, przybywa fascynujący głębią wżarcia się w miąższ językowy i porównawczy styl Berenta, i z tego wielka winna być radość w tych czasach, gdy wszystko, co pisze, ściga się do mety

dziennikarskiego prostactwa”. Inni podkreślali przystosowanie języka powieści do panującej w niej atmosfery duchowej. Stary Chmielowski, który nieraz w swych ocenach utworów pod kątem pożytku społecznego bywał „arte rudis”, wyznaczył Berentowi, jako artyście-psychologowi, „najwydatniejsze bodaj miejsce w naszej literaturze” i rzucił zdanie, nad którym — niestety — nie zastanawiano się głębiej: „Jest to raczej poemat, bolesnym liryzmem nawskroś przesiąknięty, niesharmonizowany jako całość, ale pobudzający do zadumy godzinami całemi”.

P o e m a t... Zdaje mi się, że wiele późniejszych i dzisiejszych sądów o twórczości Berenta uległoby gruntownej zmianie, gdyby ta szczęśliwa definicja została przyjęta. Wprawdzie niezupełnie możnaby ją zastąpić do „Oziminy”, w której dojrzało „styl wiwsekcyjny”, „staranne docieranie do najwłaściwszego określenia”, „prawie naukową ścisłość przymiotników”, „drobiazgowość analityka, uzbrojonego w mikroskop i umiejscowiającego preparować najtajniejsze drgania duszy ludzkiej”. Ale pojęcie: poemat — przemożenie narzuca się uwadze przy czytaniu „Zywych kamieni”.

Utwór wyszedł z druku pod sam koniec wojny, czyli w czasach, gdy nie mógł liczyć na rezonans. Trudno było wymagać, aby, w dobie powstawania państwa polskiego, rozważano krytycznie wizję dalekiego Średniowiecza. I nic nie zmienił sprawy fakt, że inny samotnik, Edward Porębowicz, po przeczytaniu „Zywych kamieni” zapłonął entuzjazmem, którego nie uczuwał przy żadnym innym utworze polskim. Dzięki swym studjom romanistycznym, nieraz zagłębiał się sam w żywot Średniowiecza. Oświadczył z całą stanowczością, że „po owe granice, do jakich sięga możebność „wczuwania się”, — złudzenie Średniowiecza jest tam (w „Zywych kamieniach”) nadzwyczajne”. Pisał o tym utworze, jak o skończonym arcydziele formy. „Wszystkie zmysły wibrują w Berencie ustawiczną rozkoszą odczuwania i wcielania widzeń wewnętrznych w sposób najzupełniej indywidualny, jedyny. Góruje skłonność do syntetycznego ujmowania każdej, choćby najbardziej złożonej grupy zjawisk jednym rzutem spojrzenia, jednym zwięzłym obrazem, jednym zwarciem składniowym, jednym określeniem słownem, gdy potrzeba, umyślnie ukutem”.

Po kilkunastu latach z takim samym zachwytem rozważa „Zywe kamienie” jeden z zdolniejszych młodszych krytyków, p. Tadeusz Makowiecki. Nie waha się zapewnić, że „z początku czytelnik jest jak w lesie, ale rychło spostrzega, że jest w lesie kolumn gotyckich, kolumn, które się wiążą z kolumnami w całość jednolitą, precyzyjną, choć skomplikowaną, ścisłą jak geometrycznie ścisłe są wiązania łuków i kolumn gotyckich... Nie barokowo rozlewnie, ale gotycko linearnie ujęta jest każda myśl, obraz, postać; każdy gest i odruch postaci, każdy odcień uczucia czy wrażenia wyrażony jest w kształcie skończonym, skryształizowany w ostrą, ostateczną formułę, plastycznie barwną, mimo całą precyzyjność i ścisłość wyrazu”.

Zmieniły się czasy. Fala barbarzyństwa, która zalała Europę po wojnie, przewalała się również po Polsce. W powieści zapanował „reportaż”; utwór literacki, ubogi formą, rozważany bywa (z konieczności) pod kątem zagadnień społecznych, obyczajowych lub filozoficznych. Ale nie zmienił się Berent. Zwrócił się do „opowieści biograficznych”, w których daje syntetyczną wizję rzeczywistości polskiej z końca osiemnastego i początku dziewiętnastego wieku. Wizja jest tak samo wspaniała, jak w dawnych utworach, tylko język pisarza-poety daleki jest od czasów dzisiejszych. Stąd płyną nieporozumienia u tych, którzy chcieliby dostosować wielki jego talent do stylu epoki dzisiejszej. Prózne usiłowania! Naturę ich określił dośkładnie J. E. Skiński w wybornej glosie, napisanej z powodu nowej edycji „Próchna”: „Toć w tych zdaniach jeszcze niedawno marzyliśmy o sobie; tą wygiętą liniją stylu układały się nasze tęsknoty; tak czuliśmy i wierzyliśmy, że czuć inaczej nie można. Dziś ten język — gdyby go użył ktoś ze współczesnych — byłby już tylko manierą. I mimo, że zdajemy sobie z tego sprawę — tam, w „Próchnie” dalej nas czaruje i przykuwa”.

HELENA ROMER-OCHENKOWSKA

MIECZYŚLAW KARŁOWICZ

KRAJ LAT DZIECINNYCH

W życiu człowieka pierwsze lata młodości odbijają się niezatartym piętnem. Jest to truizm, nie wymagający udowodnienia. W miękkiem tworzywie rozwijającego się człowieka, budują lata dziecięce jakieś dziwne, nie ważne, niewzruszone pojęcia wrażenia, będące później fortecą, dokąd się szczęśliwie chroni, albo ciężarem, który przeklinając wlecz.

Jeśli się to da powiedzieć nawet o przeciętnej jednostce, wychowanej przez przeciętnych rodziców, w banalnym środowisku i bezbarwnych warunkach, to cóż dopiero o organizacji artystycznej? A jeśli do tego zdarzy się i nieprzeciętna dziedziczność, i warunki życia osobliwe, to jakże nie zastanowić się, nie zamyślić, nie przyjrzeć taktem obrazowi, takiemu układowi sił twórczych, kształtujących przyszłą wybitną indywidualność? Zaciekawia i zastanawia, co przyniósł na świat, co otrzymał z tajemnych głębin poczęcia, co wchłonął pierwszym spojrzeniem na świat, co mu dano jako najbliższe wrażenia? Nie tylko utwory, ale i życie artystów staje się własnością ogółu, chcemy posiadać wiedzę o nich, możliwie całą prawdę, dotrzeć do źródeł twórczości, zrozumieć na czym polega, z czego wynika ten cudowny dar losu: talent? Chcemy zanalizować pierwiastki duszy artysty, zrozumieć to niepojęte, co sprawia, że od nich ku nam splywa nigdy nie wyczerpany nurt żywego szczęścia, że zapraszają nas do uczestnictwa w tem, co jest w świecie widzialnym najpiękniejsze: w dziełach sztuki.

W dwudziestopiątą rocznicę śmierci mego cioteczkiego brata, Mieczysława Karłowicza, gdy w całej Polsce rozlegną się o Nim 8 lutego b. r. słowa wspomnień i popłyną tony Jego, tak Mu właściwej muzyki, a znajomi zamyślą się nad Jego pięknym i tragicznym zgonem, chcę wezwać współczesnych do zajrzenia na chwilę w przeszłość, w rodzinę, w środowisko i okolicę rodzinną artysty, z których to kompleksów nic już nie pozostało. Szkic niniejszy nie wyczerpuje oczywiście tematu.

Mieczysław Karłowicz urodził się 11.XII. 1876 r. na wileńszczyźnie w Wiszniewie, dziedzictwie parusetletnim Sulistrowskich herbu Lubicz, własności matki artysty, Ireny, córki Edmunda Sulistrowskiego i Adeli Karnickiej. Ojciec Mieczysława, Jan Karłowicz, pochodził z rodziny litewskiej herbu Ostoja, rodem z Mińszczyzny, osiadłej w wileńszczyźnie, gdzie posiadał pradziad artysty majątki Podzitzę i Bratomierz. Jan, jedyny syn Aleksandra i Antoniny z Mołochowców, od dziecka wykazywał niepospolite i wielostronne zdolności; nauki w gimn. wileńskim Winogradowa, ukończył świetnie, pracując jednocześnie nad muzyką, tak że wyjeżdżając jako 17-letni chłopak do Moskwy, na wydział historyczno-filologiczny, grał już koncertowo na wiolonczeli i należał do muzycznego świata Wilna. Po czterech latach studjów w Moskwie, udaje

się do Paryża na rok, potem do Heidelberga, poczem przerzuca się ze studjów historycznych do zawsze ukochanej muzyki i w latach 1859.60 w Brukseli uczęszcza do tamtejszego Konserwatorium, studując historję i teorię muzyki, oraz wiolonczelę u słynnego Servais'go. Dalej Berlin i jego świat naukowy zajmuje go i pochłania, odrywając poniekąd od spraw krajowych. Swoobodny majątkowo, bogaty jednak, ubóstwiany przez rodziców, oddaje się cały, pogrąża w naukę, we wrażeniach muzycznych i w poezji, której też próbuje. Niepospolicie szeroki jest zakres jego zdolności i zainteresowań. Tak hojną ręką obdarzył go los pod tym, jak i pod innymi względami, że trudno mu było wybierać i przez szereg lat wahał się, czemu ma być? Artystą czy uczonym? O tem, żeby pozostać na roli, w rodzinnym majątku, nie myślał. Po śmierci ojca, przebywa lata powstania (od 1862-65) w Bratomierzu, ale po uporządkowaniu interesów, wybiera się na dalsze studia za granicę.

Wtedy właśnie poznaje piękną, uroczą, obdarzoną wspaniałym głosem i umuzykalnioną Irenę Sulistrowską, drugą córkę Edmunda Sulistrowskiego, jednego z bogatszych ziemian wileńszczyzny, spokrewnionego z Radziwiłłami, Drucko-Lubeckimi, pana o którym do dziś dnia wspominają okoliczni chłopci, że był najlepszym dla poddanych, człowieka o wysokiej kulturze umysłowej, posiadającego wspaniałą bibliotekę, cieplarnię, gdzie w tegie litewskie mrozy kwitły pomarańcze i dojrzewały figi, winogrona, brzoskwinie i t. p. nie mówiąc o kwiatach-fenomenach, których dziedzic Wiszniewa był specjalnym miłośnikiem. Dobra jego rozciągały się w święciańskim na wiele tysięcy dziesięcin, w czem dwa miasteczka z kościołami, w Wiszniewie i Komajach. Ożeniony był z Adelą Karnicką. Dom ich stał na wysokim poziomie towarzyskim, z tradycjami dworu, arystokratycznymi zwyczajami i poglądami, połączonymi z owym specjalnym, patriarchalnym stylem w stosunku do włościan, służby i drobnej szlachty — sąsiadów, jaki charakteryzował ziemiaństwo na Litwie przed wojną.

Do takiej rodziny wszedł Jan Karłowicz ze swemi celami naukowymi, ze swą silną indywidualnością i krainowo różnymi poglądami. Bezwyznaniowy manifestacyjnie i namiętnie, radykał, gardził szlacheckimi tradycjami bez zastrzeżeń, sprzedał z czasem rodzinne majątki „moskalom”, co, w owe czasy, po Powstaniu, konfiskatach i przymusowym wyzbywaniu się, było bolesnym szarpnięciem uczuć Polaków na Litwie. Trudno było zapewne uczonemu, i wobec otrzymania przez żonę dużego Wiszniewa po śmierci teścia, zajmować się gospodarstwem, ale to oddanie rodowej ziemi dobrowolnie w ręce wroga, miało długie i dotkliwe echa.

Los dał mu spotkać kobietę o równie

wybitnej indywidualności, bezkompromisowym charakterze, twardym, ascetycznym niejako, ale pełnym wrodzonej zdolności do poświęcenia, prawie egzaltowanego. W epoce gdy ją poznał, Irena Sulistrowska, mieszkająca z ojcem i siostrami w Wilnie i oddawała się cała opiece i wspomagananiu więźniów, używając stosunków rodzinnych do ratowania skazanych; za jej staraniem np. wyprosił jej cioteczny brat Maciej ks. Radziwiłł u Murawjewa, życie jednego z najzacniejszych ówczesnych ludzi, członka Rządu Narodowego, Zygmunta Czechowicza, ukryła i ocaliła Andriollego, o czem z wdzięcznością opowiadał potem, bywając u Karłowiczów w Warszawie.

Jan Karłowicz oddany sztuce i naukowemu pracom, od spisków stał daleko, w niczem się do ruchu nie mieszał. Z Ireną spotkali się przy fortepianie; muzyka i śpiew, świat sztuki, wykwitnął jak oaza harmonji w strasznych czasach lat 64, 65, w epoce żałoby, wyroków i zsyłki partjami na Sybir. Młody uczyony i artysta zakochał się w pięknej i muzykalnej pannie, pisał dla niej piosenki, śpiewał duety, akompanjował, mówił mądre, dowcipnie i sam pięknie grał, ona, wspaniałym contralto pełnem uczucia i jakiegoś podkładu tragizmu, który jej nie opuszczał przez całe życie, snuła wraz z ukochanym nad wszystko Janem, pierwszą i jedyną idyllę życia. Zakochała się w nim tak bezwzględnie, tak zapelniała nim całe swe serce, myśl i wolę, że od ślubu, który nastąpił po pewnych wahaniach ze strony ojca Ireny, w r. 1865, aż do śmierci męża w roku 1903, jego zdrowie, praca, spokój, wygody i wszystko co się jego tyczyło, było zawsze, bezwzględnie, najważniejsze dla niej.

Zmieniła przekonania; głęboko religijna, arystokratka, przywykła do sfery konserwatywnych ziemian, do wsi, do gospodarstwa wiejskiego, bardzo do tych kompleksów przywiązana, lamala się i szarpała w swych uczuciach, ale nigdy nie stało się inaczej niż wola, zamilowania, lub antypatje męża dyktowały.

Wielka ich miłość wzajemna, tak ofiarna ze strony kobiety, pełna zrozumienia tej ofiarności ze strony mężczyzny, pozwalała utrzymywać harmonję w domu, który przedstawiał niejedno ciekawe i skomplikowane zjawisko, w ścieraniu się różnych prądów, tradycji i bądź co bądź nie zatartych, a różnych upodobań obojga Karłowiczów.

Bo aczkolwiek działo się zawsze tak, jak chciał ojciec rodziny, to niemniej matka, nie mogła i nie chciała, zrywać ze sferą z której wyrosła, gdzie miała zamężne trzy siostry serdecznie kochane, wielu krewnych i przyjaciół, cały świat z ówczesną postępowością nie mający nic wspólnego. Wytwarzały się więc nieraz przedziwne konflikty, fantastyczne sytuacje i spotkania, ale o tem by za długo pisać.

Po ślubie młode małżeństwo wyjeżdża do Berlina, na studenckie życie. Już ten fakt był w sferze ziemiańskiej czemś niesamowitem! Jako, taka dziedziczka bez panny „wyprawnej”, bez liberji? Bez karety w czwórce koni?... A młoda Karłowiczowa uczyla się tam śpiewać, wprawiając w zachwyty nauczycieli, przepisywała Janowi rękopisy, kartki słowników, i biegała po „bulki do śniadania z radością, upojona, choć tęskniącą do kraju, do swoich.

Wracając, Karłowicz jeszcze nie może wybrać: sztuka czy nauka? Próbuje nauczycielstwa w Konserwatorium w Warszawie, kandyduje na wykładowcę w Szkole Głównej. Po nieudaniu się tych projektów, osiada w Wiszniewie, postanawiając tam pracować w obranych studjach folklorystycznych, do których okolica owa świetnie się nadawała, ze swem bogactwem bajek, podań, pieśni i obrzędowych zwyczajów, nietkniętych przez żadne badania. Organizuje sobie ogromną bibliotekę, zdawszy interesy i zajęcie się, niebawem czworgiem dzieci, na żonę, która też i gospodarstwo prowadzi, usuwając od męża wszystko co mu może przeszkadzać.



Jan Karłowicz, ojciec artysty



Irena z Sulistrowskich Karłowiczowa, matka artysty



Mieczysław Karłowicz



Od prawej: Mieczysław Karłowicz, Edmund Karłowicz, Jan Karłowicz, Alfred Romer, Irena Karłowicz, niania Magdalcia, w głębi stoją: Bolesław Jacemiński i Dr. Kiewlicz

Jan Karłowicz prócz swej pracy naukowej oddaje się też i społecznej; wspólnie z sąsiadem Konstantym Skirmuntem i dalszymi (szwagrami Ignacym Czechowiczem i Alfredem Romerem), organizują Bank Włościański, który oddał rzetelne usługi kredytowe: w całym powiecie, co oczywiście pociągnęło za sobą zamknięcie tej instytucji przez rząd, pilnie czuwający by ziemiaństwo do niczego się nie mieszało. Czasy były okropne pod względem zupełnego marazmu, zaniku życia publicznego i umysłowego, na wypranej z ideowych jednostek Litwie. Pozostali, albo byli! pod nadzorem, albo drżeli na myśl o każdym urzędniku, którego „kolokoł” (dzwonek u hołbli) rozlegający się pod dworem, był hasłem do paniki i do wyciągnięcia 10 czy sturubłówki, zależnie od rangi „gościa” i „przestępstwa” gospodarza.

Każdy dwór był kompleksem napęczniałym oporem i cichą niechęcią. Atmosfera patryjotyczna... zależna od przynależności do „niedawnych wypadków krajowych”, jak nazywano w urzędach zduszoną „miałeż” 63 roku. Wszędzie jednak polskość istniała żywa, promieniująca naokoło, walka z przemocą nieustępliwa i czujna.

W takim środowisku, w takiej atmosferze żyła i rodzina Karłowiczów z dziećmi.

mi. Najstarsza córka, Stanisława, zmarła wcześniej w Warszawie na pensji p. Krzywoblockiej, niepospolicie zdolna, jak zresztą i młodsze, dalej Wanda, późniejsza żona red. Zygmunta Wasilewskiego, Edmund, dr. medycyny, z czasem dziedzic Wiszniewa i Mieczysław. Nie oczekiwano go, nie liczono na czwarte dziecko, matka przed jego urodzeniem przechodziła chwilę szalonego zdenerwowania z powodu nieobecności męża, który się wybrał za Ocean, na wystawę do Filadelfji, co w ówczesnych pojęciach prowincjonalnych groziło życiu i pozbawiało na długie tygodnie wiadomości.

Tym stanom matki i wrażeniom jej przypisywano potem fakt, że jako dziecko, był Mieczek słabowity, nerwowy i na ogół ponury, a zawsze blady, co w ćwicnictwie do starszego brata, promiennego, złotowłosego blondyna, pięknego jak matka, pełnego radości życia, stanowiło tem silniejszy kontrast. Tę morbidez zachował Mieczysław całe życie. Obdarzony przez los jak mało kto, bajecznie zdolny, otoczony zawsze komfortem, mając wszelkie ułatwienia materialne, pomoc i zachętę w pracy, każde pragnienie zaspokojone, hodowany jak rzadka, cenna roślina, z mądrą miłością Jego talentu, widział świat i ludzi na ciemno. W szalonych zabawach i wyprawach, i stu figlach z licznym gronem ciotecznego rodzeństwa, (Czechowicze, Sniadeccy i niżej podpisana), zawsze mogło, i zwykle się działo tak, że Mieczek był rozdąsany, obrażał się, złościł i doznawał jakichś krzywd i głębokich urazów, z których każde z nas się śmiało, albo sprawę załatwiało kuksańcem.

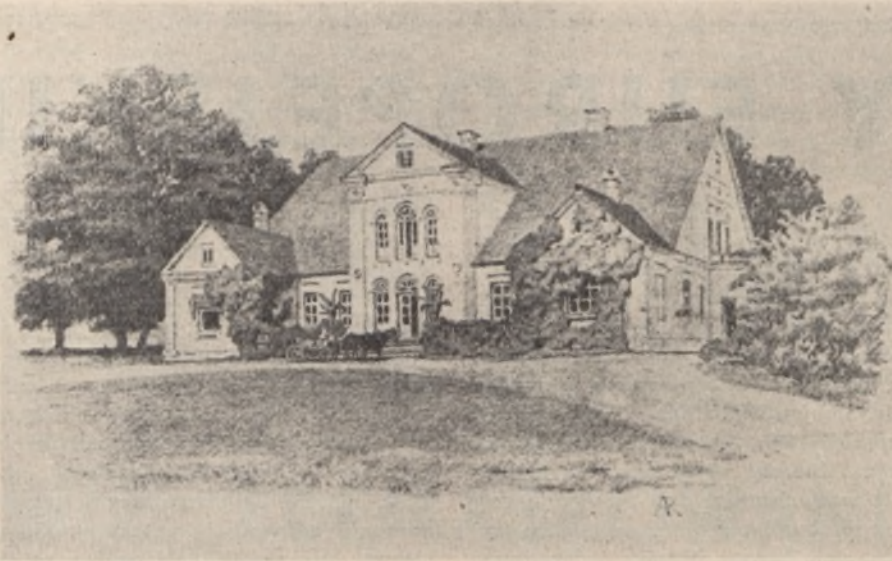
Jakieś w Nim fermentowały sprzeczności i uprzedzenia do bliźnich. Później, gdy dorósł, z obawy by nie być w stosunku do nich naiwnym, stawał się niechętny, by nie być tkliwym, bywał szorstki, nie znoślił żadnego przecięgnięcia, na żadnej mecie, do której dążył, choćby to był bieg na przelaj po łące.

Z wiekiem, opanowany doskonale zewnętrznie, zachował jednak swoją pierwotną duszę, nienasyconą nigdy, niespokojną i smutną. Wypowiadał się w muzyce. Nie zwierzał chyba nikomu. Od dziecka rósł jakiś osobny, ni to dziki, ni to wzgardliwy, stęskniony do serc bliskich i odrępniający je, gdy się zbliżały. Doznawał ulgi jeśli Mu się wydarło jakąś o Jego przeżyciach nikłą wiadomość, jeśli Mu ktoś, do kogo był przywiązany, coś o Nim wyjawiał, ale bronił się przed tem z zawziętością. Był zasadniczo obcy, daleki, obcował z nami jak przez grzeszność, ale to są dzieje późniejsze, stany wynikające może i z pobytu od 7-go do 12-go roku życia zagranicą, dokąd Karłowiczowie wyjechali z dziećmi i nianią Magdalcją, dla prac naukowych wuj, co było ciężką męką dla ciotki, przywiązanej niezmiernie do swego Wiszniewa, do swoich ludzi i otoczenia.

Narazie jednak byliśmy w Wiszniewie, często odwiedzany, gromadą wrzaskliwych i rozdokazywanych dzieci, o tyle tylko różnych od wielu innych, że byliśmy wszyscy bardzo zdolni i że te zdolności rozwijano w nas nierównomiernie, ale wszechstronnie, udzielając podnieci duchowych hojnie i bezpośrednio.

Wielki dom, budowany z czerwonej cegły, o gotyckich oknach, otoczony starym ogrodem, jeziorami, alejami lipowemi, zniosła wojna z całym dworem z powierzchni ziemi, wraz z miasteczkiem i kościołem, budowanym przez Krzysztofa Sulistrowskiego na wzór Wileńskiej Katedry, a zabranego na cerkiew po 63 roku, za udział w Powstaniu ks. proboszcza Żuka. Kościół ten ocalał dziwnym cudem i dziś jest znów świątynią katolicką, gdyż postawiony po 1905 r. rękami włościan i przy pomocy dziedziców drewniany kościół, spłonął w czasie wojny ze szczętem.

Wydawało mi się zawsze, nawet gdy dorosłem, że tam było dziwnie tajemniczo. Może dlatego, że nic w tym ogromnym domu nie było współczesne z nami, tylko wszystko: sprzęty, meble, obrazy, lampy, talerze, nawet zabawki, nawet nasze książki, nawet koldry adamszkowe, sięgały czasów tak dla naszego pojęcia odległych, że to się równało z dziedziną bajek i zdawało się że właśnie tu, mogą się dziać niesamowite, rozkosznie straszne zdarzenia. Obszerne pokoje wypełniał latem miodny oddech kwitnących lip wielkiej altany, zasa-



Wiszniew — Dwór, miejsce urodzenia artysty

dzonej tuż przed gankiem od ogrodu, od drugiej strony lśniła rozległa przestrzeń jeziora, w którą bily w burzę pioruny. Starce kaszany, miejsce schadzek i fortece, zagłądały w gotyckie okna zielonością gałęzi i dlatego zapewne przestrzeń w pokojach była zielonawa jak dno wód. Różne światy mieszcili się w tym rozległym dworze: światy bliskie, zrozumiące, i inne, przerażające nasze pojęcia dziecinne. Wesoło biegliśmy do apteczki, domagać się tradycyjnych makowników, gruszek i orzechów w miodzie przyrządzanych dla nas przez kochaną, jak dobra wróżka z Bajarza staruszczykę, garbatą i malutką Magdalcję, piastunkę Mieczka, i najtkliwiej przez niego kochaną. Trwożnie wstępowałyśmy w ciemny świat, zastawiony kuframi, pełnymi nieoczekiwanych skarbów, gratów przedwiecznych, a kędy wiadomo było że księżycowemi nocami przesuwają się widmo uroczej szambelanowej Karoliny Sulistrowskiej, naszej prababki, której portret przez Lampiego malowany wisiał w salonie obok portretu męża, piękniejszego od niej, Józefa, do którego i dziad Edmund, a za nim córki, Adela Sniadecka i Wanda Romerowa, były tak bardzo podobne.

Najdziwniejsze światy, to była na górze biblioteka wuja: wchodziło się bardzo rzad-

skupieni na długiej, czeczotkowej kanapie, słuchamy: wuj gra na wiolonczeli... tęskne płyną tony, coś płacze i skarży się w przestrzeni, tęskno się robi, tęskno, aż serce z małych piersi wyciąga daleko... A teraz siostry śpiewają duety. Ciozia i Mama: contralto głębokie, dramatyczne, potężne, i srebrny sopran, jak wysoki ton skrzypiec, a potem grają na cztery ręce i ich śliczne, rasowe profile pochylają się nad klawiaturą... Mój ojciec rysuje ich portrety, wesołe karykatury, układa je szwagrem projekty tak dalekie od zwykłych ziemiańskich: zbierania materiału etnograficznego, rysowania zażytków, folkloru i architektury. Pójdzie to do Warszawy, Krakowa, Lwowa, bo w Wilnie nie nic wolno, nic, nawet mówić po polsku w lokalach publicznych, a z mego ojca dopiero co zdjęto nadzór policyjny za udział w 63 roku. Więc tembardziej trzeba w tym kraju pracować, tembardziej dbać o jego los... więc, zjazdy i narady z sąsiadami, więc ów Bank Włościański, który kazano potem zamknąć, bo go stworzyło ziemiaństwo polskie.

Zyjemy w powietrzu przesiąkniętym sztuką, muzyką, śpiewem, poezją... wcześniej dano Mieczysławowi skrzypeczki do rąk, wcześniej stwierdzono, że będzie pięknie grał, ale nie zdawano sobie sprawy, że muzyka, to



Wiszniew pow. Świąciański — Kościół fundacji Sulistrowskich

ko, za specjalnem pozwoleniem i ze świętą trwogą. Książki do sufitu, biurka, papiery, teki, tam rankami przebywał wuj i wiadomo było, że pod żadnym pozorem nie wolno mu przeszkadzać. Tak jak w Karolinowie, u nas, nie wolno było przerywać ojcu memu, gdy malował. Przywykliśmy w naszej rodzinie od dziecka do szacunku dla pracy twórczej, naukowej i artystycznej, a pragnienie rozwijania w sobie wrodzonych talentów czy choćby zdolności, było ogólnie przyjętą zasadą.

Ileż obrazów podniecających wyobraźnię przesunęło się przez naszą świeżą wrażliwość. Wieczorami... wielka ciemna sala,

będzie jego jedyne szczęście istotne, jedyna dziedziną, kędy wyzwalała mu się dusza z tej ciemnej mgły, w którą go owinał jakiś tajemny wpływ i o którym zapomniał zatapiając się w muzyce, lub w ukochanych Tatrach, które Go nam zabrały.

Jak nad pracą naukową męża, tak nad talentem syna roztoczyła matka opiekę miłości bezmiernej. To nieoczekiwane dziecko stało się najdroższem, ubóstwianem. Wpaływała się w Niego, w Jego talent, zasłuchana w melodie, czuwająca nad każdym Jego krokiem. A potem trzymała Jego martwe, zastygłe zwłoki, wydobyte z pod lawiny...

Przypominamy, że

Szanowni Prenumeratorowie „Pionu”, którzy wpłacili prenumeratę od początku za 1-szy kwartał — otrzymywali pismo nasze przez miesiąc październik bezpłatnie, — mają przeto opłacone miesiące: listopad, grudzień i styczeń.

Czas zatem wpłacić prenumeratę na kwartał następny!

P. KORZENIOWSKA O CONRADZIE

Tygodnik paryski „1933” nr. 9 z 6 grudnia drukuje spory artykuł żony Józefa Conrada opisujący niektóre fakty z życia młodego pisarza i wnoszący nieco ciekawych przyczynków do poznania jego charakteru i przyzwyczajajeń.

Opisawszy pokrótce perypetje zaręczyn i ślubu, żona Conrada notuje drobne, charakterystyczne szczegóły jego zachowania. O oświadczeniach naprz. mówi: „Nie wniósł do oświadczeń za dużo ciepła. Najpierw powiedział mi, że niewiele mu już zostało czasu do życia, że nie chciałby mieć dzieci, i zakończył oświadczenia, że moglibyśmy spędzić wspólnie kilka szczęśliwych lat”.

„Jego temperament był wyjątkowy — mówi p. Korzeniowska — przyjemny, ale wrażliwy i skłonny do uraz, sympatyczny, lecz nietolerancyjny i skryty do ostateczności”.

Dalej opisuje, jak wymagającym był Conrad dla służby, w sprawach punktualności posiłków i w wyborze dań. Opowiada o wypadkach, kiedy po kilkodziwnej nieobecności w domu, zastawała po powrocie odpiawiony cały personel służbowy. Ciekawą są jej uwagi o metodach pracy Conrada.

„Zwyczaże pisarskie Conrada — pisze — były niezmiernie ekscentryczne. Nieraz zasztywał się w jakiś zatracony kąt ogrodu i pisał na skrawkach papieru. Pewnego razu przez cały tydzień pracował w łazience. Innym razem ubrał się w płaszcz kąpielowy całkiem wypłowiały i uparł się pracować w oranżerii, przyległej do salonu. Musiałam postawić pokojówkę na straży przy drzwiach wejściowych, aby mnie uprzedzała o nadchodzących gościach. Choć jego zwyczaje były dość dziwaczne kiedy pisał, jeszcze bardziej obawiałam się tygodni i miesięcy, kiedy nie miał do tego ochoty. W takich chwilach nerwowość i rozdrażnienie czyniły go ciężkim do zniesienia i robiłam co mogłam, by go skłonić do przejazdu powozem, a później autem”.

Opowiada p. Korzeniowska o stosunku Conrada do odwiedzających go, do gości. Zwraca uwagę pewien rys demoniczny Conrada. Mianowicie nieraz tak pochłaniał osobę z którą rozmawiał, że wychodziła z jego pokoju „fizycznie wyczerpana i chora”. Innym zaś razem „kiedy się wynętrał”, odwiedzający opuszczali go „pokrzepieni i odświeżeni”. Opisuje autorka dobrze podpatrzone stany niebываłego skupienia wewnętrznego i pochłonięcia pracą w czasie pisania, co wyrażało się w roztargnieniu pisarza i ciągłej groźbie zaproszenia ognia w domu od niedopałków papierosów i dopalających się świec.

„Żona człowieka genialnego — kończy p. Korzeniowska — nie powinna spodziewać się słodkiej i łatwej egzystencji, ale może ją pocieszyć świadomość, że pośrednio współpracuje z dziełem ważnym dla świata. I ta myśl mi wystarcza”.

O SŁOWACH SPROŚNYCH

W nr. 585 Nouvelles Littéraires p. Robert de Traz w artykule p. t. „Świeża moda” (D'une mode recente) rozważa powody, które sprawiają, że niektórzy pisarze coraz częściej zaczynają używać w swych powieściach grubych i sprośnych słów.

Kwestja ta była niedawno aktualna i na naszym gruncie, a zaraźliwy przykład francuski może ją znów zaktualizować. Powieści Witkiewicza, a ostatnio „Wspólny pokój” Unilowskiego mogą służyć, jako dowody. Lecz o ile drastyczne sytuacje w powieściach Witkiewicza znajdują usprawiedliwienie w jego estetycznych założeniach, o tyle grube wyrazy u Unilowskiego, nie bez słuszności, możnaby wytłumaczyć dążeniem, jak mówi p. de Traz, „z pomocą skandalu do sprzedaży swych książek”.

„Jest rzeczą pewną, — pisze de Traz — że przykład „Kochanka lady Chatterley” i „Podróż do kresu nocy” zawrócił głowę niejednemu chłopcu, któremu pilno się wybić”, — poczem udowadnia, że niema do statecznego usprawiedliwienia dla korzystania z takich chwytów w rzemiośle pisarskim. Nie uważa p. de Traz za moment usprawiedliwiający ani dążenie w ten sposób do prawdy i precyzji opisu, ani wzmacniania i pogłębiania tą drogą ekspresji literackiej.

„Sprośny termin”, — kończy autor — razi przede wszystkim pewien konwencjonalny zmysł grzeszności, nie trafia do głębokich pokładów wrażliwości czytelnika. Z całego słownika jest on najbardziej pozbawiony mocy wywoławczej: mechaniczne powtarzanie oddaliło go nazawsze od podstawowej treści wyobraźniowej. Stał się naprawdę abstrakcją, znakiem konwencjonalnym, jednostajnym i nużącym. Możemy zapewnić autorów, że czytelnik, jeżeli nawet wzdrygnie się dwa czy trzy razy, za czwartym już mu się to znudzi... Prawda leży w tem, że tylko poeci mogą osiągnąć odmłodzenie języka. To jest właśnie ich rolą. Mimo to nie pretendują do użytkowania osławionych wyrazów, a uciekają się raczej do prostych i nieskomplikowanych, które z pomocą jakiejś magji zmieniają w niespodzianki. Budzą nas słowami, które tajemniczym sposobem uczynili „dziewicami” i „żywotniami”.

Czy Robert de Traz nie ma dużo racji? Mogliby się zastanowić nad ostatnimi jego słowami i niektórymi nasi poeci, gdyż dotyczą najistotniejszych zadań poezji.

TYMON TERLECKI

PROBLEMY EUROPEJSKIE

„Człowiek z ulicy”, ten bezimienny, nieznany, którego imię jest legion — Jules Romains lubi to pojęcie i to widzenie — mógł doznać zawodu, gdy otworzył tom jego szkiców p. t.: „Problèmes européens”^{*)}. Bo między spodziewaniem, a spełnieniem zrazu znaczący się musiała jaskrawa rozbieżność. Wydawca Ernest Flammarion opatrzył zbior obwołaną (patent Boy’a: „Kozprawa o metodzie”) ze słowami: „Nasze niepokoje, nasze trwogi”. Któż z tych niepoliczonych, których na bruku Paryża, Warszawy i Mostów Wielkich napadają apokaliptyczne strachy — nie uległby takiej obietnicy wyrazu, takiej obietnicy pocieszenia? Ale otworzywszy książkę, znalazł dwa pierwsze („Pour que l'Europe soit”, „Ce que „l'homme dans la rue” pense de la Société des Nations”) i dwa końcowe szkice (o psychoanalizie i unanizmie), przedrukowane z książki: „Problèmes d'aujourd'hui” (Paris, Kra 1931). Trzy nowe rozdziały: „France, Europe, Angleterre”, „De la misère à la dictature” „La crise du marxisme” — nie zdawały się równoważyć rozczarowania i upokorzącego odczucia bluffu.

Przecież bliższe zetknięcie z książką wy daje na nową niespodzianą. Doznane rozczarowanie ustępuje rozczarowaniu — do datniemu. Uważny czytelnik musi, chcąc niechcąc, przyznać autorowi, że jego praca stoi w ogniu chwili, że jest bardziej, niż kiedykolwiek oczekiwana i właściwa. To rosnące z karty na kartę przeświadczenie jest tem bardziej zadziwiające, że czołowy ustęp tomu stanowi cykl artykułów, napisanych — osiemnaście lat temu. Zanim znalazł się on w zbiorze, przeszedł Odyseję dość osobiłą. W pierwszym rozognieniu wojny pisarz francuski, skłoniony przez amerykańskiego dziennikarza, sformułował pogląd na jej genezę i jej konsekwencje.

Przeznaczony dla Ameryki cykl ten nigdy się w niej nie ukazał. Zbyt był, widać, odważny, uprzedzający rzeczywistość, zbyt wyzwolony od zbiorowej psychozy odczuwania i widzenia, żeby to się stać mogło. Przecież niepodany do publicznej rozważki wiódł życie ukryte: zachowała się wersja, że czytał go Wilson, może się nawet dał mu inspirować (tę wersję podaje Madeleine Israël w książce o Romains'ie). Gdy wreszcie w r. 1930 wychodził na światło dzienne, autor miał skrupuły co do określenia roli Niemiec w wielkiej wojnie. Ostatnie wydarzenia i groźba wojny nowej, większej od „wielkiej” — tę wątpliwość rozwiąły.

Romains prosi dzisiejszego czytelnika „Pour que l'Europe soit” o rekonstrukcję atmosfery wzruszeniowej pierwszych lat wojny. Na tem tle występuje niezależność, własność jego widzenia, fenomenalna zdolność przewidywania. Potwierdza się przy innej sposobności postawiona zasada: „Celui, qui prévoit le mieux, c'est celui qui connaît le mieux”. Ale dopiero na tle dzisiejszym zaznacza się pełna aktualność tez sformulowanych. To, co Romains mówi u krwawego progu przeszłej wojny odnosi się do możliwej wojny przyszłej.

Według niego nie będzie ona właściwie wojną. Więcej, niż z wojny będzie miała z zatargu, z zamętu („un désordre civil”), jak tamta nie będzie zderzeniem dwu cywilizacji heterogenicznych, ale zajdzie w obrębie cywilizacji jednorodnej. Wyniknie nie z rozdziału istotnego, ale z potrzeby zjednoczenia. Będzie „kryzysem unifikacji”, wyrazem nienasyconej, niezrealizowanej potrzeby jedności, niejako jej negatywem. Romains wkłada wiele żaru i nieco dowolności w dowód, że kraje Europy są prowincjami, samorodnymi częściami jednej, europejskiej ojczyzny. Jeśli można przyjąć jej homogeniczność ze stanowiska geograficznego, nawet ekonomicznego, trudniej, w danym momencie, zgodzić się na to samo ze stanowiska społecznego.

Wszystkie rozdziały — mówi Romains o wojnie minionej — są powierzczone i sztuczne. Są to zmyślenia straszliwe, cienie retorycznie wolażące o krew prawdziwie czerwona. Hodoruje je historyzm: „Europa jest zatruta tok-

synami historii”. Nie militarizm pruski, nie kapitalizm, nie ekspansja kolonialna, ani żadna rzecz podobna, wskazywana autorytatywnie przez znachorów była i — być może przyczyną wojny. Absurd i przeszłość, petryfikacje myślenia, niezrewidowane, niesprawdzone logicznie — leżą u podłoża nowej możliwości zbrojnego konfliktu. Niemcy, ojczyzna romantyzmu, filozofji historii, filozofji rozwoju i filozofji irracjonalnej są zbiornikiem rezerw absurdu: tam stacjonują rozkudlane Walkirie przed niszczyielskim wyłotem na pola Europy. Niemcy — Heblowski Holofernes pchnął stary kontynent do szaleństwa i znowu zagraża mu tem samym.

Jeśli przeszłość, tem bardziej jeszcze przyszłą wojnę Romains uważa — za złą i bezużyteczną. Jakie jest wyjście z tego stanu między jednym, tragicznym doświadczeniem, a groźbą drugiego? Romains w dalszym ciągu książki dającej jasny i ścisły zarys teorii freudowskiej — jakby przejmuje jej metodę. Kompleks europejski trzeba dobrać na jaw, trzeba go uświadomić. Europa winna zyskać jasną świadomość swego istnienia i swojej jedności. Poza i ponad polityką winna powstać w tym jedynym celu niezależna partja europejska („le parti européen indépendant”). Europeizm Romains'a, który w innych miejscach tomu nieraz występuje w obronie kultury narodowej — nie jest zamienny z internacjonalizmem. Niema w sobie nic z formuły abstrakcyjnej, nie przeciwstawia się narodowościom, ale jest ich najpełniejszą, najbardziej realistyczną afirmacją. Przetworzenie społeczne i polityczne, cała konieczna ewolucja nastroju życia — wierzy autor „Problèmes” — dokona się jedynie skutecznie, jedynie twórczo w ramach uświadomionej, zorganizowanej, pełnej jedności europejskiej.

Bezpośrednio, jakby następne ogniwo myśli, nawiązuje się do tych rozważań odczyt

o Lidze Narodów. Jego aktualność wydaje się nie mniej żywa, jednak interes dla czytelnika polskiego jest nieporównanie mniejszy. Oświetlenie problemu może uchodzić za specyficznie francuskie, nie uderza siłą przewidywania, jasnowidztwem logiki, które tak zdumiewało w essay'u wstępnym. Nicufność Francuza do Ligi, „Bursy Spraw Zagranicznych”, jako do instytucji biurokratycznej, nie wiele więcej jest dla nas zrozumiała, jak zdanie „ducha demokratycznego”, parlamentarnego i własnej siły egzekutywnej: armji Ligowej. Ale znamienne i ogólne jest echo, zawarte w tych słowach, które Romains, imieniem „człowieka „z ulicy” zwraca do reprezentacji europejskiej: „postępujcie miękko, rytmowi waszego kroku niedostaje gorączkowości i heroizmu... Nie nadużywajcie obejści i ostrożności. Zadziwicie nas trochę...”

Podobnie szkic następny, stanowiący egzemplifikację ogólnej postawy Romains'a, oświetlający zagadnienie stosunków francusko-angielskich i opinji obcych o Francji — nie przedstawia powszechniejszego znaczenia. Ale ciekawie ukazuje pisarza w podwójnym aspekcie: jako obrońcę swojej narodowości, swojej kultury i jako sędziego, który się nie cofa przed prawdą — dość wstydliwą.

Natomiast dwa essay'e: „Od nędzy do dyktatury” i „Kryzys marksizmu” — wracają znowu do kompleksów o wielkiej rozpiętości, o walorze ogólnym. Gdy we wstępnych rozważaniach Romains podejmował zagadnienie polityczne, tu przechodzi na plan socjalny. Oba szkice łączy tożsamość poszukiwań: genezy faszyzmu. Pisarza-Francuza, należącego do narodu, który w okręgu wstrząsów społecznych, przesunięć ustrojowych na lewo (Hiszpanja), czy na prawo (Niemcy) trwa w pozornej tylko, mocno zagrożonej równowadze — ten problem interesuje, jako groźba bezpośrednia, stojąca u własnych drzwi.

Studując w powojennych podróżach po „europejskiej ojczyźnie” stosunki rozmaitych krajów, Romains doszedł do pewnego uogólnienia natury ekonomiczno-społecznej. Okres kryzysu stanowi dla państw i rządów przejazd między Scyllą a Charybdą. Jeśli ciężar sytuacji jest przez nie przerzucany na proletariata, nieuchronna się staje — rewolucja komunistyczna. Jeśli następstwa kryzysu uderzają w klasę średnią prowadzi to koniecznie — do faszyzmu. Według określenia Romains'a jest on zarówno w wersji włoskiej, jak niemieckiej „dyktaturą ram społecznych” („dictature des cadres sociaux”). Do tej formuły prowadzi go obszernie, najbardziej substancjonalnie, pobudzające do zastanowienia oświetlenie kryzysu teorii marksowskiej. Jest ono tem ciekawsze, tem znamiennejsze, że wychodzi z pod pióra pisarza, który w pewnym okresie rozwoju twórczości ulegał urokowi Jaurés'a i wpływom socjalizmu, co odźwięki bezpośrednio znalazło w utworach: „Vin blanc de la Vilette”, „Le Bourg Régéné-

né”. Romains przyznaje doktrynie Marxa, że była w zgodzie ze swoim czasem, że sumowała większość znanych wtedy faktów i dawała ich syntezę najbliższą prawdopodobieństwu, choć podnosi zarzuty przeciw jednostronności teorii, przeciw zlekceważeniu faktorów ideologicznych i psychologicznych w ewolucji społeczeństw, choć, w innym miejscu, mówi o katastrofalnym wchłonięciu francuskiego socjalizmu idealistycznego przez socjalizm marksowski. Oskarżenie zasadnicze zwraca się raczej przeciw kontynuatorom twórcy „Kapitału”. Romains stwierdza, że jego nauka przestała być teorią laboratoryjną, którą się konfrontuje i sprawdza nieustannie faktami, ale stała się dogmatem, którego siłę stanowi wiara, żarliwość i ilość zwolenników. Wskutek tego zahamowania mnożą się fakty zaprzeczające podstawowym prawdom doktryny. Między nią a rzeczywistością przestał zachodzić stosunek przystawania. Nawet rewolucja rosyjska, dokonana w kraju o najmniejszej, nie największej koncentracji kapitału jest — zaprzeczeniem przewidywań marksowskich.

Jedną z największych słabości i luk systemu stanowi rozpoznanie kategorii ludzi, którzy nie stanowią właściwie klasy, które częściowo i ogólnie określa się, jako „ramy społeczne”, „warstwę średnią”, „specjalistów”. W początkach podlegali oni pasywnie ruchowi socjalistycznemu lub brali w nim udział czynny. Rozwoju i roli tego czynnika społecznego Marx nie uwzględnił i nie przewidział w żadnym stopniu. Tymczasem właśnie on waży na losach doktryny. Wstępne realizacje marksizmu (we Włoszech powojennych) i kryzys ekonomiczny (w Niemczech z ostatnich dni) — daly temu elementowi społecznemu pełną świadomość i pełną inicjatywę. W pierwszym przypadku mechanizm społeczny był zagrożony anarchją, w drugim ustroj ubezpieczeń socjalnych i ucisk fiskalny przerzucały ciężar sytuacji na warstwę średnią. Skutek w obu razach był jednakowy: faszyzm zamiast socjalizmu, dyktatura „ram społecznych” w miejsce dyktatury proletariatu. Według przeświadczenia Romains'a jest to następstwem błędu doktryny i błędu przewidywania Marxa. To dwukrotnie stwierdziło, że proletariata bez „ram społecznych” niezdolny jest do przetworzenia ustroju społecznego. „Na zachodzie — konkluduje — nie można dokonać rewolucji ani bez „ram społecznych”, ani przeciwko nim”.

Sumując te rozważania Romains widzi w tem nowem doświadczeniu społecznem dwa problemy, które wystąpiły na jaw: przeciw zwyrodnieniu demokracji wysunięty problem hierarchji, przeciw zwyrodnieniu socjalizmu problem „cuforji kolektywnej”. Demokracja poza uniformową fasadą kryła zróżnicowanie demoralizujące, odrzucający hierarchję warstości wyznaczała obrzydliwą rolę — hierarchję pieniądza. Marxizm uświadamiał, podsycal antagonizmy, ale ich nie rozwiązywał: w ten sposób działał na powszechne obniżenie afirmacji życia. Jedno i drugie przez nowy ruch społeczny zostało przelamane.

Autor „Problemów europejskich” zastrzeżę się przeciw pomawianiu go o sympatję dla faszyzmu. Pragnie tylko, aby Francja z pozornego czy względnego zwycięstwa socjalizmu na wschodzie Europy i z jego klęski mniej lub więcej definitywnej na zachodzie wyciągnęła wnioski praktyczne: „demokracja może być poddana hierarchji: nie według praw pieniądza, można odnaleźć szczęście zbiorowe bez ofiar z wolności człowieka”.

ŚWIATOPEŁK KARPIŃSKI

GIOCONDA

Gioconda płonie, niby świeca w płynnym mroku,
W załamaniach galerji, gdzie uśmiechom pusto,
W owych wnękach zdziwienia jest smugą uroku,
Pośród kolumn i ludzi, niby słońce w trumnie,
W jej blasku tłum topnieje! Drzwi zamyka kustosz. —
Siódma! Gioconda święta i miłosna dłonią
Sięga do telefonu. Dzwonek błyszczący u mnie...
„To ja”... „To ja”... „Gioconda”... „Kocham!”... Rozłączono!
„Hallo”... „Hallo”... „Giocondo!”... Schody jak ruinę
Tratuje. Skrzydła płaszcza... Krzykiem do niej płynę.
Czary Bachus wieczorów niebo nam przynosi
Skroplone, ocenione i zakorkowane.
Za barem wzrok natchniony, ku sklepieniom wznosi
Mistrz cocktailów, co tony trunków niewygrane
Zgrywa i łączy w smaki o melodji czystej,
Pełne szumu zieleni, gąszczów i księżycy.
Gdy ona pije nazbyt i nogi strzeliste
Na srebrnej kładzie tacy, niby dwa banany —
Anioł północy w szpazmach, w mroźnych błyskawicach.
Piętrzy skały akordów w lodzie wyrąbanych,
Aż w eterze... na turniach... wstrząsa się i łamie
Ów koncert... i lawiną... w ziemną światła zamieć
Spada... w wino, w znużenie, w wiolinowe piany.
Tak gorącą symfonię do zimnego rana,
Gra pijackie delirjum, jak mszę na organach!
Więdnie dancing, opada na dno i odpływa,
Już tylko jest wspomnieniem, śmiechem, alkoholem...
Gioconda swoją nagość, jak światło odkrywa,
A moje wrzące wargi od piersi do kolan,
Tatuują ją całą — upalny KWIAT Z MIĘSA.
Architekturo ciała! Muskuly jak przęśla
Podskórny rytm kulistych i grających mięśni,
Niby prosta melodja w żyłach żywej pieśni.
Owe biodra parzyste, co się śmiechem wiążą,
Nim głowę gorejącą stulą i pogrążą.
Poezjo, wywleczona z nocy żywym kształtem...
Pokrawiona Gioconda wraca zgrzanym autem,
Ślania się na chodniku i w poranku moknie,
I staje w złotych ramach, jak dziewczyna w oknie.
A kiedy kustosz kluczem nowy dzień otwiera
Galerja drży porankiem i natchnienie wzbiera.
Wielooka publiczność — szept. — Płonie z płótna
Ow uśmiech, gdzie jest święta, miłosna i smutna.
Kołana tłumy ścina ten majestat boski
Żest ekstaza w kielichu, niby w krzyku zgłoski!
I czekają, stłoczeni, cudu! Krwi!! Zaświatów!!!
Gdy z uśmiechów polecą białe płatki kwiatu...

^{*)} Jules Romains: „Problèmes européens”. Ernest Flammarion Editeur (Paris 1933). Str. 245.

Tezy Romains'a nieraz prowokują do sprzeciwu, ale zawsze pobudzają do myślenia. Jednak ponad wszystko, co może być sympatyczne lub niesympatyczne, obce czy bliskie, słuszne i niesłuszne w głoszonych przez niego poglądach — wybija się rzecz jedna: postawa pisarska. Pisarz o rodowdziej i wykształceniu naukowym, technik, filozof, psycholog-odkrywca „zmysłu praoptycznego” — ma olbrzymią rzetelność, surowość, przenikliwość intelektualną. Jego intelektualizm nie jest rozbrojeniem, nie jest rozkładem zdolności realizacyjnej. Świadomość jest u niego siłą widzenia wprzód, funkcją, pełną

możliwością, najwyższą formą czynu. Staje się to dzięki ciąglemu napięciu kontaktu z rzeczywistością, i zbiorowością, przede wszystkim ze zbiorowością zorganizowaną i świadomą, z grupą społeczną. „Pisarz pod groźbą zawiednięcia — mówi gdzieś Romains — winien ciągle wracać do rzeczywistości człowieka, do konkretnych stanów duchowych”. A w końcowym ustępie daje wprowadzenie do „unanizmu”, który leży u podstawy jego poglądu na świat i jego dzieła pisarskiego. Choć Romains pretenduje do przeciwwstawienia tego terminu i objętej nim treści romantyzmowi, nie zdaje się on

być niczem więcej, jak nową wersją idei pan-teistycznej. Przecież zawiera się w unanizmie impuls do przejścia od jednostki ku zbiorowości, poczucie dla ponad indywidualnych kompleksów życia, nakaz wielkiej odpowiedzialności twórczej, duch kształtowania chaosu, duch realizacji, duch syntezy.

Jules Romains wydający „Problèmes européens” między V i VI tomem wielkiego cyklu powieściowego: „Hommes de bonne volonté”, mogący stwierdzić, że między jednym i drugim dziełem zachodzi nieprzerwana ciągłość myśli i działania — wydaje się bliski prototypu pisarza dzisiejszego.

tu powtórzyć, ale już nie jako zwrócone przeciwko Sinclairowi, tylko przeciwko jego polskiemu sobowtórowi-widmu. Kto zna sposób rozumowania marksistów, tego też nie zdziwi, że o powieści „W Oczach Zachodu” Sinclair pisze w dalszym ciągu: „Książka ta, wydana w r. 1911, była pierwszą jaskółką białego terroru”. Materializm dziejowy, to jednak nie to samo, co metody dziennikarskiego reportażu, a wykrywanie związków w rzeczywistości kulturalno-społecznej, to jednak co innego, niż kryminologia służącej Kasi. Na to, żeby obalić metafizykę i zdezonizować religię, nie wystarczy być plebejuszem: trzeba być jeszcze filozofem.

Tyle w sprawie sprostowania. W brzmieniu oryginalnym feljton Sinclaira nie byłoby, jak się zdaje, dostateczną przyczyną dla akcji rewizjonistycznej naszych socjalistów: dopiero w zbrutalizowanej formie zdolny był obudzić w tych umysłach jakiś rezonans. Mimo to jednak uwagi Sinclaira istotnie zasługują na rozpatrzenie. Zwłaszcza ten, do metafory podobny zarzut, że Conrad identyfikuje Boga z armatorem: „... jak Meredith mylił z Bogiem brytyjski system kastowy, a O. Henry — Standard-Oil-Company, tak Conrad — kapitalistycznego właściciela okrętów... Mamy więc zamiast fikcyjnego Boga w jakimś tam niebie — niejasne wyobrażenie o właścicielu na lądzie. Ten właściciel jest siłą, która żeglugę stworzyła i w ruchu ją utrzymuje. Jemu to marynarze i oficerowie winni wierność”. Ale to wcale nie jest metafora i właśnie w tem tkwi problem. Jeżeli „Nemezis” nie jest niczem innym, jak zorganizowaną zachłannością przedsiębiorców, to niewątpliwie wszelki tragizm marynarski jest śmieszny, głupią rezygnacją z osobistego losu na rzecz kieszeni armatora. Czy to jest tylko chwyt demagogiczny, czy też Sinclair rzeczywiście wierzy w możliwość idyllicznej harmonii między człowiekiem a Naturą, o to mniejsza.

Ala dopiero tu, w tym punkcie, gdzie krytyka dzisiejszego stanu rzeczy rodzi się z niebywałego optymizmu o niemal religijnym pokroju, zaczyna się właściwy problem. I tu też rzeczywiście Sinclair zaczyna o istotną problematykę Conrada. Niewątpliwie Conrad jako konserwatysta nie lubił społecznego „sentymalizmu”, nie cierpiał sufrażystek, szydził z ustawy o „Jinji Plimsolla”, obrzucał obelgami marynarzy, którzy oddawali się marzeniom o lepszym losie w jakimś innym ustroju i niewątpliwie cały szereg tych ressentymentów tłumaczy się jego przeszłością, jako oficera marynarki handlowej, — ale czem są siły, które go do konserwatyizmu popchnęły, oto pytanie. Gdyby zbadać historię stosunku Conrada do konwencjonalnej rzeczywistości morskiej, gdyby zrekonstruować wewnętrzny dramat osobisty, w którego rezultacie Conrad stał się „clubmanem” a nie komunistą czy anarchistą, okazałoby się może, w ilu momentach kwestja ta wymyka się wogóle analizie marksistowskiej i jak ciasne jest podejście do kultury jako nadbudowy społecznej, t. zn. jako ścisłej konsekwencji metod produkcji ekonomicznej. Może okazałoby się, że istnieje jednak jakiś bezpośredni stosunek jednostki do świata, że niezależnie od swego miejsca w systemie kapitalistycznego niewolnictwa człowiek ma swój własny los i swoją własną, indywidualną biografję.

Analiza Sinclaira jest analizą marksistowską, nie jest nią natomiast to, co z niej zrobił J. N. Miller (wszystko jedno, czy wprowadzony w błąd, czy nie: powinien, jako socjalista, umieć odróżnić krytykę liberalistyczną od marksistowskiej). Natomiast tem, czego J. M. Toporowski mógłby się słusznie domagać od historyków literatury, powinno być opracowanie poruszonego właśnie problemu wewnętrznej biografji Conrada, który dałby się sformułować w pytaniu: „Co wypchnęło Conrada na morze i co go tam, mimo wszystko, zatrzymało?” Może być, że wytykany przez Sinclaira konserwatyzm okaże się prosto wewnętrznym kompromisem Conrada z własną naturą, z czego wynikałoby oczywiście szereg interesujących, także z względu na polskie pochodzenie Conrada, konsekwencji. Jeżeli zaś uda się stwierdzić, że pociągnęła Conrada na morze — literatura morską, Sinclair zatriumfuje i bez jego wskazówek metodologicznych, które są wskazówkami krytyki materialistycznej, niemożliwy będzie obiektywizm nawet przy pisaniu wewnętrznej biografji Conrada.

JAN
ULATOWSKI

W SPRAWIE „ZDEMASKOWANIA CONRADA”

Sposób cytowania feljtonu U. Sinclaira o Conradzie przez „Merkurjusza”, J. N. Millera i J. M. Toporowskiego („Pion” Nr. 2 z 13. l. b. r.) mógłby stać się przyczyną szeregu zbytecznych nieporozumień. Sprawa ta rzuca ponadto ciekawe światło na niektóre cechy polskiej umysłowości socjalistycznej; niniejsze sprostowanie nie jest więc pozbawione także ogólniejszego znaczenia.

Przedewszystkiem: książka Sinclaira „Mamonart” osiągnęła w r. 1928 (I) w przekładzie niemieckim nakład 27 tysięcy egzemplarzy. Tęsamem upada legenda o „wykupieniu całego nakładu” przez jakiś bank amerykański. Gdyby bowiem nawet tak było, to fakt istnienia od sześciu lat wydania niemieckiego odbiera całej sprawie posmak sensacji.

„Mamonart” jest zbiorem feljtonów, ułożonych chronologicznie i poprzedzonych hipotetyczną prehistorją „sztuki walczącej”. W feljtonie 87, zatytułowanym „Nieubłagana Nemezis”, Sinclair zajmuje się Conradem, którego — jak mówi — uwielbiał, gdy jeszcze o nim glucho było w świecie. Sława Conrada, opierająca się, dzięki krytyce, głównie na jego „późniejszych dziełach, w których był, jak wielu starych ludzi, daleko słabszy (aniżeli we wcześniejszych)” obrazła sentyment osobisty, jaki Sinclair miał dla autora „Lorda Jima”. Najbardziej jednak rozgniewali go krytycy, którzy „jednoznacznie twierdzą, że Conrad był doskonałym typem „czystego” artysty, który dał nam nieśmiertelne powieści bez śladu tendencji”.

Feljton jest w całości poświęcony zbiciu tego twierdzenia. Trudno w nim jednak znaleźć te zarzuty, które w przytoczonych przez J. M. Toporowskiego cytatach czynią z Conrada płatnego szefa propagandy armatorów angielskich. Jedno z przekształconych przez te cytaty zdań Sinclaira, następujące w tekście bezpośrednio po przytoczonym powyżej, brzmi w rzeczywistości: „Dla mnie zakrawa to na kpiny: bo żaden pisarz nie używał narzędzia literatury w sposób bardziej zdecydowany do celów propagandowych, jak Conrad. Oczywiście, uprawia tę propagandę z olimpijskim spokojem człowieka, który jest swego pewny i żadnej dyskusji się nie lęka. Czasem jednak potyka się o jakąś osobistość albo o jakieś zdanie, które zdaje się zagrażać jego poglądom, i wówczas Jowisz marszczy brwi, oczy jego ciskają błyskawice — i oto olimpijczyk szaleje w straszliwej wściekłości”. Od takiego sformułowania (które umyślnie cytuję obszerniej) do interpretacji — tym razem już J. M. Toporowskiego, że Conrad „miał brać pieniądze”, jest chyba jednak bardzo daleko. Komu te hyperbole są potrzebne? Trzeba nie znać zupełnie literatury marksistowskiej, żeby podniesiony przez marksistę zarzut tendencyjności rozumieć jako podejrzanie o przekupstwo. Przecież Engels — jak to ostatnio przypomniał nam pewien bolszewik — nazwał pisarzami tendencyjnymi Ajschylosa, Sofoklesa, Dantego, Cervantesa i Schillera. Nawet Hamsun nie stanowi dla marksisty wyjątku. Dopiero takie pojęcie tendencyjności pozwala zrozumieć, że hasło: „Związek Sowiecki żąda od pisarzy tylko: prawdy, samej prawdy” nie musi być odczuwane jako obłuda. Sinclair pisze w cytowanym feljtonie: „Głębokiego moralu nie wplata się do dzieła sztuki p r z y p a d k o w o — tak, jak nie przez przypadek części mechanizmu zegarowego składają się w całość”. Stąd: „Pochłaniając wysubtelniony pesymizm Conrada, należy wiedzieć, że

uczestniczy się w agnostycznej szkółce niedzielniej”. A wreszcie: „Przy dokładniejszej obserwacji agnostycyzmu Conrada okazuje się, że jest on w gruncie rzeczy kapitalizmem”.

Sprzeczność między temi cytatami a deformacjami, przytoczonymi w dobrej wierze przez J. M. Toporowskiego, jest rażąca. Ale nasi prestidigitatorzy poszli jeszcze dalej, bo oto słów: „gdyby nie propaganda romantyzmu morskigo, propaganda s u b s y d j o w a n a p r z e z a r m a t o r ó w, odbierać pensje asekuracyjne byłoby znacznie trudniej. Byłoby mniej szaleńców, wieżących w „Podstępny Los”, a więc ludzi trzeźwych, patrzących na ręce Kapitanowi Marynarki Handlowej” — tych słów u Sinclaira wcale nie ma! Ale właśnie te słowa odsłaniają cały logiczny mechanizm owej deformacji, której trudno nie nazwać fałszowaniem.

Lektura feljtonu Sinclaira poucza, że nie chodzi mu tu bynajmniej, jak zresztą w całej książce, o „zdemaskowanie” pisarza. Na to jednak, mimo swej prostoduszności (J. M. Toporowski formuluje to tak: „pisarz, zawdzięczający światową sławę jedynie s l a c h e t n e j t e n d e n c j i s w y c h u t w o r ó w”), Sinclair jest niedość naiwny. Jego „Mamonart” ma na celu przedstawienie roli literatury pięknej w walce o wolność człowieka. Jeżeli oskarża, to jest na tyje materialistą, że nie bije, jak to czynią umysły liberalistyczne, w złą wolę jednostek, tylko w ustrój. Oczywiście, sympatyczniejsi mu są pisarze, którzy przezwyczyli w sobie sposób myślenia o życiu i świecie, będący podstawą zwalczanego przezeń ustroju. Ale książce jego brak zupełnie tego swarliwego, chamstwem zajeżdżającego tonu, jaki jej nadali polscy komentatorzy.

Równocześnie jednak Sinclair jest bardzo radykalny od naszych „uniwersalistów”. Nie zadowoliliby się wcale kontrola nad „Kapitanami Marynarki Handlowej”, t. zn. ani nad pisarzami typu Conrada, ani nad armatorami (Kapitanowie Marynarki jako analogja do Kapitanów Przemysłu). Jest to podejście typowo reformistyczne, obce Sinclairowi, który rozumie, że kapitalizm jest zły nie jako okres panowania ludzi złej woli, tylko jako system. Conrad jest dla Sinclaira ofiarą dobrze przemyślanego systemu wychowawczego, będącego konsekwencją i podstawą pragmatyczną kapitalizmu. Przez niego zaś ofiarami tegoż systemu stają się wszyscy entuzjaści Conrada-pisarza. Nie chodzi tu też, jak sądzi J. M. Toporowski, o „marynarzy statków handlo-

wych” — tych już nie potrzeba pouczać: dostatecznie są wytresowani — ale o tę młodzież przede wszystkim, która się pcha na morza „w poszukiwaniu przygód”. Zwabiona „romantyzmem morza”, wpada w pułapkę kapitalistyczną i długo potem liże się z ran. Conrad uważa, że tak być musi, bo takie jest życie: wiek męski zaczyna się po przekroczeniu „smugi cienia”. A Sinclair mu przeczy, oto cała między nimi różnica.

Daremnie J. M. Toporowski dopraszać się będzie u J. N. Millera „próby poważnej marksistowskiej analizy” twórczości Conrada, kto bowiem niedość sfalszowane i wszelkiego marksizmu pozbawione wywody Sinclaira nazywa „analizami marksistowskimi”, zadawalając się, ba, zachwycając tak liberalistycznym ich streszczeniem, jak w tem cytowanym zdaniu, którego nie ma u Sinclaira — od tego trudno oczekiwać takiej „poważnej próby”. Zresztą próba ta przez p r a w d z i w e g o Sinclaira już została podjęta.

Bo to Sinclair pisze np.: „Okręt jest od stuleci źródłem naturalnej i spontanicznej autokracji, rodzajem się z niebezpieczeństwa, które grozi nieustannie. Dlatego też oficer marynarki jest najzupełniejszym i najbardziej instynktownym snobem na świecie, a oficer marynarki handlowej najdoskonalszym poganiaczem. Niech teraz taki selfmade-officer marynarki znajdzie się na lądzie i niech będzie zmuszony do zajmowania się sprawami lądowymi, a nie dziwnego, że okaże się hałaśliwym i zagorzałym konserwatystą. W książce „Przypadek” spotykamy sufrażystkę i dowiadujemy się przy tej okazji zdania Conrada o takich kobietach; a odkrywamy w nim wymyślającego, starego clubmana brytyjskiego, który chętnie zobaczyłby przed sobą wszystkie głowy myślących kobiet na jednym karku, by kark ten móc wreszcie ukreślić”.

Wynika z tego jasno, że Sinclair tłumaczy sobie reakcjonizm Conrada wcale nie przekupstwem, tylko, wprost przeciwnie, głęboko zakorzenionym konserwatyżmem. Ale cytujemy dalej: „W powieści „W Oczach Zachodu” poznajemy polityczne nastawienie Conrada, który ma odwagę w książce, pisaniej za czasów carskich, przedstawić uciekniara sybirskiego, który w walce z tyranją naraża własne życie, jako obrzydliwe, niesympatyczne stworzenie; bogata kobieta, która mu pomaga, jest zerem; dowiadujemy się o niej zresztą całego steku plotek”. Może więc Conrad był też na utrzymaniu cara?

Podobnie brzmi szereg pytań retorycznych u J. M. Toporowskiego. Mógłbym je

„CZERWONE TARCZE”

Nowa powieść

z dziejów Polski XIV w.

pióra Jarosława Iwaszkiewicza

OD 1 MARCA

w GAZECIE POLSKIEJ

JÓZEF SZANAJCA

ROZBUDOWA WARSZAWY

ANTONI WIECZORKIEWICZ DAWN

„Paryż to stół biesiadny, na który od dwóch tysięcy lat wnosi się nowe potrawy, nie uprządając resztek”.

(Le Corbusier — analiza Paryża na IV Międzynarodowym Kongresie Arch. Nowocześniejszej).

Określenie Corbusiera można bez zastrzeżeń zastosować do większości miast na kuli ziemskiej. Jedno i to samo prawo zaspakajania potrzeb dnia dzisiejszego wpływało na kształtowanie się większych zbiorowisk ludzkich. Smielsze, sięgające w przyszłość, założenia bądź o charakterze reprezentacyjnym (Ludwik XIV — Paryż, założenie Saskie — Warszawa), bądź też komunikacyjnym (Haussmann — Paryż), połączone z kosztownymi zabiegami chirurgicznymi burzenia całych dzielnic — zatopione zostały w XIX i w początku XX wieku przez nieopanowaną, opartą wyłącznie na spekulacji terenowej i kredytowej, rozbudowę miast. Pod tym względem Warszawa nie jest odosobniona, ale w historii jej zaszedł fakt, który mógł i dziś jeszcze może wpłynąć na racjonalny rozwój.

Anormalne warunki w jakich rozbudowywała się przed wojną, zmieniły się z chwilą odzyskania niepodległości. Zamknięty łańcuch fortyfikacji, ograniczający Warszawę ze wszystkich stron, powodując katastrofalne wprost stłoczenie budynków na małej przestrzeni, pękł — otworzyły się nowe nie naruszone tereny budowlane.

Na stole biesiadnym przybyło miejsca.

Nowe tereny budowlane, nowe możliwości i potrzeby — wszystko nowe z wyjątkiem starych przedwojennych upodobań i przyzwyczajęń. Z pięć — siedmiopokojowych mieszkań „w dobrym punkcie”: na Pańskiej, Wilczej, Marszałkowskiej vis a vis dworca Głównego, zaczęło się zezowanie w stronę kolonij. Ostrożnie, potem śmielej, zachęteni brakiem ryzyka, w przewidywaniu korzyści finansowych, rozpoczęli pracę pierwsi pionierzy na kolonjach nad zaspakajaniem głodu mieszkaniowego przez budowę nowych luksusowych willi i pałacyków dla starych gratów. Zgnieciony, poprzerastany, sklerotyczny organizm zaczął nieśmiało wypuszczać nowe pędy. Najtrudniejsze zresztą są zawsze początki.

W krótkim czasie zachęteni premjami od spożycia, goście, zabrali się na serio do konsumowania placów budowlanych, ale w sposób zgoła niesamowity. Zamiast zużywać kolejno dla swoich potrzeb, a właściwie upodobań, poszczególne tereny, pozostawiając nienaruszoną resztę dla następnych, zaczęło się, zresztą z wydatną pomocą gospodarzy, nadgryzanie, krajanie, parcelowanie wszystkiego co popadło pod rękę. O ile w domowym gospodarstwie swawole tego rodzaju mogą wzbudzić najwyżej obrzydzenie i uśmiech politowania, o tyle w odniesieniu do gospodarki terenowej nabierają znaczenia pierwszorzędnej wagi.

Los terenu raz dotkniętego jest już na długie lata przesądzony.

Powstały i powstają nowe dzielnice miasta, osiedla, miasta ogrody, bez planu, bez zastanowienia — na to niema ani czasu ani pieniędzy. Nerwowo pośpiech, wszystko jedno co, wszystko jedno jak i dla kogo, byle budować. Decyduje przypadek lub interes.

Z dnia na dzień gdzieś w szczerem polu, lesie lub ogrodzie zaczyna się zakładać fundamenty — coś nowego się buduje. Dlaczego tutaj, dlaczego nie o sto metrów w prawo lub lewo, a może o dwa kilometry dalej? Patrzymy na plany: Kolonja X, osiedle Y czy też miasto ogród Z, zresztą obojętne co, zawsze ta sama mniej lub więcej prawidłowa serwetka koronkowa w kółka i kratkę, na niej kilka kleksów. To gotowe budynki. Powstają nowotwory dziwolągi — dzika nieopanowana tkanka rozrasta się z zawrotną szybkością, otaczając Warszawę siecią parcelek, placów, placyków, uliczek. Każdy taki nowotwór ustala swoją egzystencję przez pobudowanie kilku lub kilkunastu domków i wywołanie setek drobnych hipotek i na tem zwykle się zatrzymuje. Zaden z nich nie doczekał się jeszcze całkowitego wykończenia i mam wrażenie, że nie prędko się doczeka.



Jeżeli na głównych placach Żoliborza, miasta liczącego około 50000 mieszkańców, sieje się trawę, a większość ulic nawet i tego nie może się doczekać; jeżeli szczęśliwy posiadacz własnego domku brnie kilometr po błocie lub śniegu do tramwaju, żeby po tem pół godziny jechać do miejsca pracy, jeżeli przy obecnej wyjątkowo korzystnej koniunkturze budowlanej trzeba nieomal darmo dawać ludziom domki, żeby chcieli wejść w ich posiadanie, — to przyczyn takiego stanu rzeczy nie można doszukiwać się tylko w złej gospodarce miejskiej i ogólnym kryzysie gospodarczym. Kryzys gospodarczy, taka czy inna gospodarka miejska, mogą tylko zaostrzyć sytuację; przyczyna zaś tkwi znacznie głębiej w kryzysie dotychczasowych metod rozbudowywania miasta. Jednostronna rozbudowa pod kątem polityki budowlanej dnia dzisiejszego oparta na dostarczaniu każdemu własnego domku z własnym ogródkiem powoduje szereg zjawisk, które w konsekwencji prowadzą do sytuacji bez wyjścia.

Nadmierne rozszerzanie się miasta w płaszczyźnie poziomej. Nieproporcjonalne do spełnianych funkcji skomplikowanie komunikacji. Rozdęcie kosztów ulic, uliczek i placików, których powierzchnia w niektórych dzielnicach mieszkaniowych dochodzi do 40% terenu i tem samym zgóry skazana jest na częściową tylko realizację. Powstawanie trwałych planów regulacyjnych na szerokich przestrzeniach dla dorywczych nielicznych i obliczonych na krótką metę, rozsprzedaży placów, poczynań budowlanych. Wyzbywanie się terenów państwowych i samorządowych na korzyść prywatnych jednostek zgrupowanych w organizacje o charakterze spółdzielczym. Rozdrabnianie terenów na tysiące porzucanych dokoła miasta drobnych własności prywatnych, których specyficzne właściwości można łatwo zaobserwować na istniejących w Warszawie przedmieściach.

Rezultaty łatwe do przewidzenia, zresztą wystarczająco odstrasające, przykłady są już gotowe: większość miast zachodnio-europejskich z Londynem na pierwszym planie, gdzie pracownik fizyczny czy umysłowy traci 3 — 4 godzin dziennie w kolejach, tramwajach i autobusach. Jeżeli tam, gdzie tego rodzaju rozbudowa wykonywana jest systematycznie, gdzie kolonie mieszkaniowe buduje się jako całość przez przedsiębiorstwa lub organizacje dochodowo społeczne z pomocą Państwa, gdzie niema ulic bez nawierzchni i instalacji, komunikacja jest w miarę możliwości ułatwiona — jeżeli tam nawet rozbudowane domkami jednorodzinne dzielnice są już dziś plagą, to co czeka w przyszłości naszą Warszawę, która w dodatku pod względem indywidualności w budownictwie przedmieść i najbliższych okolic jest unikatem, gdzie finansuje się pojedyncze domki porzucane po wszystkich moż-

liwych terenach budowlanych? Te pozornie nikłe i nieszkodliwe pojedyncze domki, gdzieś zgrupowane w kilka lub kilkanaście, porzucane w szczerem polu, tworzą trwałą zaporę dla rozwoju miasta w przyszłości. Po co świadomie powtarzać błędy popełnione przez innych?

Nowoczesna technika umożliwia stworzenie racjonalnych mieszkań zgrupowanych z pozostawieniem dużych wolnych przestrzeni dla wspólnego użytku.

Nowoczesne środki lokomocji odpowiednio wyizolowane, uwolnione od potrzeby wykonywania karkołomnych ewolucji między taczkami, dorożkami, przechodniami, po fantastycznie pokręconych ulicach, umożliwiają szybkie połączenie zgrupowanych mieszkań z warsztatami pracy.

(Z pl. Narutowicza na pl. Inwalidów tramwaj jedzie 45 minut a odległość w linii prostej wynosi 5 km.)

Uniezależniona od wpływu ubocznych urbanistyka oparta na studjach terenowych, klimatycznych i statystycznych, może wytyczyć linie rozwoju, wskazać sposoby zabudowania, wyznaczyć kolejność realizacji, zabezpieczyć rozwój miasta na przyszłość.

Miasto przyszłości realizowane pod kątem zbiorowych potrzeb i praw do korzystania z dobrodziejstw przyrody i zdobyczy kultury oparte na logicznym rozmieszczeniu dzielnic mieszkaniowych miejsc pracy i przestrzeni do odpoczynku nie jest utopją, gdyż poza wszystkimi innymi względami jest prostsze w realizacji, jednak pod warunkiem dysponowania wolnymi terenami.

Powstałe przed wojną przedmieścia (Wola, Ochota, Marymont i t. d.), uzupełniane przez nowe powojenne kolonie, zaciskają pętlę dokoła Warszawy coraz silniej, tereny wolne tonieją jak śnieg na wiosnę. Jeszcze trochę gorącego entuzjazmu dla inicjatywy prywatnej, a za parę lat terenów pod małe nawet ogródki Jordanowskie trzeba będzie szukać na środku placów i ulic, a jak tego zabraknie, wykupywać za grube pieniądze nadjedzone grzybem wille i prywatne parcelki. „Należy uratować otaczającą miasto przyrodę przed trądem przedmieść” mówi Le Corbusier. Nie można dla kilkunastu tysięcy wybranych skazywać pozostałe setki tysięcy na odcięcie od przyrody, powietrza i światła, na oglądanie trawy i drzew przez sztachety prywatnych ogródków.

Już dziś położenie ręki na terenach pozostałych jeszcze, nierozparcelowanych i niezabudowanych jest pilne i konieczne. Wyzbycie się każdego hektara z terenów miejskich i państwowych, zatwierdzenie każdej nowej parcelacji terenów prywatnych zmniejsza możliwości i oddala w niewiadomą przyszłość spełnienie obowiązku gospodarzy i techników wobec tej większości mieszkańców, dla których miasto obecne nie poza ciężką pracą, ponurem mieszkaniem i zatrutem wyziewami powietrzem dać nie może.



Nasz stosunek do dzieł architektury zbyt obciążony jest pewnymi serwitutami na rzecz niedawnych wprawdzie lecz dziś już przebrzmiałych poglądów i zapatrywań.

Architekturę zabytkową traktujemy jak zabytki muzealne, które można izolować z otoczenia, niemal jak zabytki ruchome, których nie przenosimy jedynie ze względu na techniczne trudności, mimo, że w dziedzinie polityki muzealnej coraz bardziej znowu staramy się o stworzenie dla przedmiotu muzealnego właściwego otoczenia, związania go w artystyczną całość z przedmiotami sąsiednimi.

W stosunku naszym do zabytków architektury dawnej postępujemy wciąż jak pozabawiony gustu i artystycznego odczucia kolekcjoner ustawiający cenną gdańską szafę w pokoju umeblowanym brzydkimi secesyjnymi fabrycznymi meblami lub zawieszający kolorowany sztych angielski w bogatej gipsowanej złoczonej ramce. Dbamy o artystyczny efekt wnętrza, o artystyczne działanie zespołu w swem mieszkaniu, w sali muzealnej, w stosunku do zabytków architektury dawnej tych ambicji w należyłym stopniu nie mamy.

Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy był niewątpliwie sceptyczny stosunek do architektury nowej (w drugiej połowie XIX i początku XX wieku) bezstylowej a raczej wiestylowej. Podzieliliśmy sobie miasta na dwie grupy: miasta jako zespoły artystyczne i miasta jako artystyczne fragmenty. W stosunku do pierwszych, które w całości zachowały charakter pewnej epoki, względnie jednolitego zespołu, nie uległy modernizacji bądź w całości bądź w jakiejś zwartej części nakaz polityki konserwatorskiej był jasny i prosty: nie ruszać, nie dotykać. O ile byłoby to możliwe wstawić pod klosz, jak cenny brązowy zegar w bankierskim salonie. Takich miast jest zresztą niewiele: Bruges, Rothenburg, Wenecja i t. p.

W miastach kategorii drugiej do których prawem życia wdarła się współczesność i nastąpiło przemieszanie dawnego z nowym uprościliśmy sobie zadanie, wyłączając fragmenty zabytkowe, które nazwalismy sobie artystycznymi, oddając je w opiekę konserwatorowi zabytków sztuki, a na resztę machnęliśmy ręką w arcypasywistycznym przeświadczeniu, że do wartości dawnych nie zdołamy dorzucić równorzędnych nowych.

Staliśmy odrazu na defensywnym i defetystycznym w stosunku do współczesności stanowisku, wydzielać z żywych, rozwijających się organizmów naszych miast zabytkowe fragmenty lub nawet pojedyncze objekty czy fasady i straż nad ich całością oddając konserwatorom.

Między dawnością a dzisiejszością przeprowadziliśmy dowolnie granicę, określającą, co już jest dostatecznie stare, aby godne było stać się przedmiotem zainteresowania historyka sztuki, a co musi się jeszcze „jak figa ucukrować, jak tytoń uleżeć”. Granica ta jest zresztą dość zmienna, przesuwa się w zależności od gustu pokoleń współczesnych do spraw minionych i od stanu badań historycznych. Przedewszystkiem zaś jest dowolna.

Konsekwencją tego stanowiska jest obrona zabytków architektury dawnej przed atakiem architektury żywej. Obrona — zamiast współpracy. Potraktowanie zabytków architektury dawnej jak wyszłych z obiegu monet, które odkłada się do numizmatycznej gąbłoty.

Każę się oglądać miasta z katalogiem w ręce, tak jak się zwiedza wystawę. Każę się wyszukiwać jakąś zabytkową fasadkę wciśniętą między wielopiętrowe dziewiętnastowieczne kamienice i rozkoszować pięknem tej fasady, gdy widzowi przedewszystkiem rzuca się w oczy szpetota, bezsens tego zestawienia.

W małym miasteczku, gdzie rynek zabudowany jest skromnymi parterowymi domkami z facjatami, wybiera się jeden lub dwa takie domki, posiadające indywidualnie większą wartość zabytkową i artystyczną i te oddaje się w opiekę pana konserwatora, a pozostałe, jako nie posiadające wybitniejszej indywidualnej wartości artystycznej pozwa-

ARCHITEKTURY KOLUMNA ARCHITEKTURY KOLUMNA ARCHITEKTURY

ARCHITEKTURA W MIEŚCIE ŻYWYM

KSIĄŻKA
WŚRÓD LUDZI

Projekt nowego ratusza w Krakowie prof. Odrzywolskiego, odznaczony nagrodą w r. 1904 mający według ówczesnych poglądów realizować postulat dostosowania nowowznoszonych budowli do otaczających je zabytków architektury dawnej

ła się niszczyć, nie bacząc, że ten zespół nieposiadających większej wartości zabytkowej czy artystycznej domów posiada tę wartość jako zespół.

Konserwator pieczołowicie dbać będzie o zachowanie w pierwotnym charakterze zabytkowej fasady, będzie staczał ciężkie boje, rzadko zresztą zwycięskie, z właścicielem jakiejś zabytkowej kamieniczki, który radby ją podwyższyć o jakąś dochodową nadbudówkę, ale patrzeć musi bezradny, gdy mu obok, na pustym placu wznoszą, jakby miejsca gdzieindziej nie było, wielką czyszową kamienicę, która samą różnicą skali niweczy całkowicie, bardziej jeszcze niż nadbudowa, artystyczne działanie zabytku. Gdyby to była szczerą nowoczesną budowlą przystosowaną skalą do swych sąsiadów, niewątpliwie nie czyniłaby im krzywdy, czasem mogłaby nawet podnieść ich urok. Niestety architekt wzbudowujący się między starą architekturą usiłuje zwykle podrabiać swych sąsiadów we fragmentach, w szczegółach, nie stosuje się zaś przeważnie do nich skalą swjej budowli. A to jest przecież istotne.

Cóż z tego że warszawskie Wizytki — to jedna z najpiękniejszych fasad kościelnych stolicy, pełna subtelnego wdzięku i niewysłowionego uroku, cóż z tego, że sąsiedni pałac dawniej Tyszkiewiczów i Potockich, dziś siedziba Akademii literatury jest doskonałym reprezentantem najlepszej architektury czasów stanisławowskich, skoro architekt wznoszący wielki gmach na rogu Królewskiej i Krakowskiej Przedmieścia mając tylko przed oczyma sąsiadów z lewej i prawej strony, nie pomyślał o tak frapującym, zdawałoby się, artyście *vis a vis* i tym dwóm tak cennym i pięknym zabytkom — lekkim sercem wielką uczynił krzywdę.

Architektura dawna, jej zabytki, nie jest architekturą umarłą. Skoro jest — ma również prawo do życia. Powinna być akcentem świadomości i umiejętności wciągnięty do planowego artystycznego zespołu miasta współ-

czesnego, a nie eliminowanym z przewidywanej a priori brzydoty fragmentem artystycznym, wyrzuconym poza nawias życia, dla rzadkich etranżerów czy rodzimych również nie częstych prowincjonalistów, którzy z przewodnikiem w ręce i kodakiem na pasku wyszukiwać go będą mozolnie wśród policyjnych numerów bram.

Miasto bowiem nie jest, nie powinno i nie może być zbiorem różnych cennych fragmentów artystycznych, ale stanowi pewną artystyczną całość.

I to wszystko jedno, czy ta całość powstała odrazu w formie skończonej, według, pewnej koncepcji, jednolitego planu, czy też formowała się przez narastanie dorobku poszczególnych epok w rozwoju dziejowym.

Jeśli chodzi o rzeczywistą opiekę nad architekturą dawną w miastach żywych, to nietylko ważne są detale, poszczególne fasady, fragmenty fasad, ile bryła, ściana ulicy zgodna z urbanistycznym charakterem dzielnicy. Bo dla zachowania potomności detali i fragmentów wystarczy często odlew gipsowy, dobre zdjęcie fotograficzne czy architektoniczne.

Niema większego, jaskrawszego nonsensu chyba, jak naprzykład tak często w Warszawie stosowane nadbudówki zachowane „w stylu i charakterze” całej budowli, wykreślające proporcję płaszczyzn i bryły gmachu. W taki bezceremonialnie barbarzyński wandalizm sposób postąpiono ze szlachetnym pałacem dawniej Lubomirskich na wprost kramów Wielopolskich, a bardziej jeszcze z sąsiednią o trzy piętra podwyższoną kamienicą, na której pozostawiono, chyba na drwinę bolesną, pierwotną datę budowy z pierwszej ćwierci ubiegłego stulecia. W równie bezmyślny, dziki sposób dobudowano „w stylu” piętro nad charakterystyczną kamienicą na rogu Podwala i Senatorskiej, stanowiącą jednolitą ścianę całego odcinka ulicy a ze zrównanej względnie ściany domów Placu Zamkowego wyrzuciła pokracznym szczytem jakiś dziwoląg.

Jest jakaś ponura groteska w dyskusowaniu przez poważne grono architektów, konserwatorów — ludzi uważających się za miłośników i opiekunów zabytków sztuki sprawy, czy taki projekt nadbudówki odpowiada lub nie odpowiada stylowi i charakterowi budowli. Tak jakby budynek — rezultat twórczego wysiłku architekta, pewnej artystycznej koncepcji był składanką z dziecinnych klocków, albo z pudełek od zapalek, gdzie zawsze można dokleić lub doskładać jeszcze jedną lub dwie kondygnacje.

Jesteśmy wciąż sentymentalni, tym tanim egzaltowanym sentymentem dekadentckiego mieszczaństwa. Wraz z autorem nieudolnych ramot o Starej Warszawie, Aleksandrem Krausharem gotowiśmy dziś jeszcze rzucać kamieniami na wielkich reformatorów Warszawy z czasów Królestwa Kongresowego, spadkobierców idei Augusta II, Stanisława Augusta, inicjatorów modernizacji stolicy, gotowiśmy lżyć ronić nad Bramami Krakowskimi i Nowomiejskimi, nad rumowiskami cegieł i gruzu, które musiały przed stu laty dać miejsce nowoczesnemu żywemu miastu i lec pod ciosami oskardów i młotów.

Potrąfimy załamywać ręce nad ubytkiem tego czy innego zabytkowego gmachu, ale nie myślimy o tym, żeby przez rozsądną politykę urbanistyczną dać istniejącym jeszcze dziś, a już jutro przez zachłannych właścicieli i architektów specjalistów od „stylowych” nadbudówek być może zagrożonych, jakiś wyraźny, logiczny, konieczny sens istnienia, zapewnić lub przywrócić właściwą im i należną w ogólnym wyglądzie i charakterze miasta rolę.

Nie chcemy mieć złożonych z artystycznych fragmentów architektury zabytkowej zagubionych wśród szarzyzny i szpetoty dnia dzisiejszego. Chcemy mieć piękne, racjonalne miasto nowoczesne, które potrafiłoby zachować, ale i wykorzystać umiejętnie i celowo spadek, będący rezultatem twórczych wysiłków pokoleń dawnych w dziedzinie architektury i urbanistyki. Szacunek głęboki, jaki żyjemy dla tego dorobku gruntujemy nie na lżawym sentymentalizmie ani na kolekcjonerskim snobizmie, ale na szacunku dla myśli twórczej i talentu. Nie ośmielilibyśmy się nigdy degradować zabytków architektury dawnej przez wyłączenie jej z obiegu i skazywanie ich na powolną śmierć duchową, a za duchową nieodparcie przyjść musi i fizyczna. Ale z największym pietyzmem dla prawdziwej sztuki pragniemy je wyzyskać, uczynić z nich jeden z akcentów niefalszowanego miasta nowoczesnego, akcent świadczący, o czym pamiętać chcemy zawsze, że na drodze postępu nie my jesteśmy pierwsi i że postępie nie od nas się zaczyna. Dążenie do znalezienia własnego wyrazu w urbanistyce i architekturze dla naszej epoki obowiązuje nas w stosunku do rezultatów epok minionych. Ale dlatego również uważamy, że odgradzanie spraw architektury zabytkowej od architektury nowej jest zasadniczym błędem w dziedzinie zaniedbanej zresztą u nas zupełnie organizacji opieki czy nadzoru nad architekturą wogóle. Błędem, mszczącym się w pierwszym rzędzie na zabytkach architektury dawnej, które pragnęlibyśmy zachować nietylko formalnie w ich nie naruszonym materialnym kształcie, ale również w pełni ekspresji artystycznej, zamierzonej przez ich twórców.

Teza naczelna pięknej i wartościowej książki *) p. Heleny Radlińskiej brzmi: „w tworzeniu i doskonaleniu państwa książka odgrywa rolę doniosłą: informuje i wychowuje, zespała i pogłębia. Jest narzędziem wspólnego trudu. Bez tego narzędzia niepodobna wnieść mocnej, zwartej budowy z materiału woli ludzkiej, świadomości potrzeb i dróg ich zaspokajania, z których budowana jest współczesna Rzeczpospolita”.

U nas niestety nie docenia się mimo wszystko tej twórczej roli książki. Świadczą o tem losy ustawy bibliotecznej, zobowiązującej gminy do utrzymywania bibliotek. Rychle wprowadzenie jej w życie przyczyniłoby się w znacznej mierze do usunięcia niedomagań, trapiących dziś książkę polską.

Kryzys książki w dużym stopniu jest wypływem chaotyczności, a raczej braku świadomej polityki wydawniczej. Wydawcy nasi nie uświadomili sobie dotychczas w całej pełni przeobrażeń, jakie się dokonały w warunkach wydawniczych w następstwie odzyskania niepodległego bytu. Powstały mnogie rzesze nowych czytelników, łaknących książki, ale książki wartościowej, dostosowanej do nowej rzeczywistości. Ktokolwiek zetknął się z pracą oświatową wie doskonale, że w obecnym stanie rzeczy brak niezbędnych, podstawowych wydawnictw. Jedynie umiejętnie badanie czytelnictwa zapewni planowe i celowe zaspokajanie potrzeb, nurtujących w masach czytelników. Sam fakt istnienia pożądaných i wartościowych książek nie wystarcza. Trzeba aby dotarły one do właściwych rąk.

Obok zastępów rozbudzonych już czytelników, zdążających ku książce, lecz z trudem tylko i na traf losu spotykających ją na swej drodze, istnieją liczne odłamy społeczeństwa, nawet wśród t. zw. inteligencji, które z różnych względów stroną od książki. Stosowane dotychczas sposoby propagandy, prowadzonej naogół wedle norm reklamy artykułów pierwszej potrzeby, nie prowadzą, jak uczy doświadczenie, do celu.

Skutecznym lekarstwem, zdolnym uzdrowić te rozliczne bóle, powiązane ze sobą przyczynowo, jest wedle przekonujących wywodów autorki, celowa organizacja czytelnictwa, zapomożą rozgałęzionej sieci bibliotek powszechnych. Do ściślejszej i planowej współpracy muszą stanąć: bibliotekarz oświatowy, dom, szkoła i świat wydawniczy. Główna jednak rola w tej pracy powinna przypaść w udziale bibliotekarzowi. W związku z temi uwagami pada druga teza zasadnicza autorki: „Kierownictwo bibliotek i czytelnictwa powinno się znaleźć w ręku ludzi wszechstronnie wykształconych i wysoko ceniących wartości, które tkwią w psychice szarych mas”. Cała właściwie książka jest w gruncie rzeczy głęboko i nowoczesnie pomyślanym zbiorem wskazówek dla „pracowników urządzających książki, torujących im drogi ku ludziom”.

Na marginesie tych rozważań zarysowuje się wyraziście wizerunek idealnego bibliotekarza oświatowego. Stawia mu autorka bardzo trudne wymagania, ale też i zadania jego są obszerne i niełatwe do osiągnięcia. Bibliotekarz taki musi być budzicielem i krzewicielem czytelnictwa, jego kierownikiem i wszechstronnym badaczem, subtelnym doradcą zarazem i wychowawcą. Nieprzeciętna w swoim rodzaju książka p. Radlińskiej, będąca owocem prawdziwego umiłowania spraw w niej poruszanych, oparta na wielkim doświadczeniu osobistym i obszernej literaturze przedmiotu, zwłaszcza rosyjskiej i amerykańskiej, wzbogaci wewnętrznie nietylko tych, dla których bezpośrednio jest przeznaczona. Powinni się z nią zapoznać działacze społeczni, prawdziwi miłośnicy książek, wreszcie wydawcy, szukający nowych dróg.

T. Sterzyński

*) Książka wśród ludzi. Uwagi o potrzebach i badaniu czytelnictwa. Wydanie II rozszerzone. Warszawa, 1934. Wydawnictwo Instytutu Oświaty Dorosłych.

ECHA KONGRESU
HISTORYKÓW

Międzynarodowy Kongres Historyków w Warszawie powraca jeszcze ciągle na łamach czasopism naukowych zagranicą. Ostatnio Henri Hauser referuje swoje wrażenia z Polski i z kongresu w „Le monde slave”. Artykuł jest naogół bezstronny. Autor, niechęć poinformowany, stara się wniknąć w problemy polskie, szczególnie w kwestję gdańską i kwestję żydowską i sądzi, że obie są możliwe do zadawalniającego rozwiązania. Mimo dążenia do bezstronności nie brak w artykule i wiecznie powtarzających się uprzedzeń i przesądów, które pokutują w opinii zachodnio-europejskiej, jak np. legenda o polskim „szowinizmie”, i wyrozumiałego klepania po ramieniu. Ostatecznie autor stwierdza, że Kongres był dla uczonych zagranicznych „znakomitym kursem historii polskiej”, który w oczach Zachodu rozwił legendę jakoby Polska była krajem odległym, półazjatyckim.



DYSKUSJE

HERETYK NA AMBONIE

Taki tytuł dał Słonimski ostatniemu zbiorowi „Kronik Tygodniowych”.

„Herezja” Słonimskiego nie jest nowa. I wogóle, jaka ona tam herezja. Heretyk przeciwstawia własną doktrynę — doktrynę panującą. Słonimski własnej doktryny nie ma. Darmoby tu szukać jakiegoś oparcia, jakiegoś, choćby naiwnego, credo. Autor wciąż sugestionuje czytelnika że je ma, tylko niby trzyma pod ladą, bo „gdyby zobaczyli” to, ho, co by to było! Mam wrażenie, że gdyby tak było istotnie, toby się jednak autor, bodaj niechcący wygadał i coś byśmy przecie z tego zobaczyli. Weźmy pierwsze lepsze zwierzenia „ideowe” Słonimskiego „...nie zarysował się jeszcze nowy typ człowieka nadchodzącej epoki, ale nurt potężnych przeobrażeń mieł już i kręci tym kolorowym tłumem. Zanim zrodzi się nowy człowiek, którego kończyny dolne nie będą służyły do tratowania a kończyny górne do mordowania (podkr. moje), patrzymy z napiętą ciekawością na wir (i) taniec widm przyszłości”. O tym swoim „nowym człowieku” p. Słonimski potrafi powiedzieć tylko tyle, że nie będzie bil. Jedyna tęsknota Słonimskiego, jedyny pozytywny punkt jego idealizmu streszcza się w tym postulatcie: żeby nie bili. Pozatem frazesy o nauce, braterstwie etc., nic nie mówiące, nie odsłaniające wcale owej wizji przyszłości, którą autor wciąż czytelnika szantażuje. Domyślam się, że p. Słonimski odpowiedziałby na to, że ja propaguję ideały „hitlerowskie”, że uważam, iż świat bez mordów i wojen ugrzązłby w marazmie i t. d. Nudne to, wciąż powtarzać to samo, ale gatunek nieporozumień, w które popada się ze Słonimskim jest tak prymitywny, że trzeba, chcąc niechcąc, uciekać się do metod freblowskich. Raz więc jeszcze: Nie! To bardzo źle, że hitlerowcy biją Żydów i że wogóle ktokolwiek kogokolwiek w cośkolwiek bije. Zwalczajmy bicia! Ale cóż na to poradzić, że ci co biją i nawet to bicie apoteozują, mają zazwyczaj ciekawszy świat idei niż p. Słonimski? I cóż poradzić na to, że p. Słonimski niczego poza biciem w nich nie dostrzega i dostrzec nie umie. Dobrze byłoby ten krwiożerczy świat oczyścić od krwiożerczości, ale p. Słonimski zwalacza wszystkich dokupy. Jak biją, to źle — i niema co o nich gadać. Stanowisko swoje p. Słonimski nazywa humanitaryzmem. Walczy w imię pohańkowanej cywilizacji, jak głosi reklamka okładkowa, której autorem jest podobno sam heretyk. Słowem: humanitaryzm — cywilizacja.

Ale humanitaryzm, to nie tylko piecza o ludzką skórę. To także, a raczej przedewszystkiem, walka o godność ludzką. Słonimski reaguje bardzo żywo, ilekroć dowie się, że kogoś gdzieś pobito. Reaguje szczerze, wiadąc, że go to naprawdę obeszło. Ale to jest stosunek do zagadnienia człowieka niejako epidemiczny. Tego typu humanitaryzm (podobnie jak pewien typ przesadnego nacjonalizmu) możnaby nazwać humanitaryzmem zoologicznym. Jest on tylko wyrazem lęku przed bólem i cierpieniem, lęku, który odczuwamy również za innych. Istnieje jednak i inny typ humanitaryzmu, stojący na straży godności ludzkiej, walczący o nietykalność wewnętrznego świata człowieka. Ten lepszy i właściwy humanitaryzm musi być p. Słonimskiemu mało dostępny. Sądzić o tem można z pewnych jego polemik, które znajdujemy w zbiorze, a nawet niektórych „dobrotliwych” feljetonów, w których, ot tak od niechcienia o kimś chlapnie. Te „dowcipy” są nie tylko ordynarne, są często wstrętne. Nie wyszłyby nigdy spod pióra pisarza, który naprawdę głęboko szanuje człowieka. (Stwierdzamy tu zadziwiające podobieństwo p. A. Słonimskiego — do pana A. — z tamtej strony „barykady”). Autor nie może się tu zasłaniać dowcipem. Bo przecie można być ciętym, złośliwym, nie owijać zarzutów w bawełnę, a jednak walczyć lojalnie. Można zmiążdżyć, nawet wyśmiać zasadę, poglądy, utwór, nie obrzucając błotem człowieka. Ale na to trzeba mieć wycucie granicy i pewien takt pisarski, na którym zbywa niestety naszemu heretykowi. O jej, wielkie rzeczy, co mu się stanie? — Tak odpowiada humanitaryzm zoologiczny na zarzut humanitaryzmu ludzkiego. Cywilizacja? — P. Słonimski w imię cy-

wilizacji gromi stosunki panujące w Polsce wytyka ich zaściankowość. Często ma rację. Do argumentów p. Słonimskiego mógłbym dorzucić jeden, — to rolę, którą „heretyk” odgrywa w naszym życiu literackim. Nie ujmuję nic talentowi Słonimskiego, owszem podziwiam nieraz jego dowcipy (o ile nie mają posmaku obrzydliwego). Ale rola, którą zdołał odegrać, a raczej nie tyle rola, ile uwaga, którą na sobie skupia, jest naprawdę świadectwem rozpaczkliwie prowincjonalnych, zaściankowych stosunków kulturalnych w Polsce. Czy kto sobie wyobraża p. Słonimskiego jako proroka i głosiciela jakiejś „wiarzy” czy „ideologii” w innym kraju? Czy taki Słonimski byłby do pomyslenia we Francji, Anglii, Niemczech, Rosji, czy Norwegii? Pan Słonimski byłby tam może dobrze płatnym feljetonistą w jednym z dzienników. Miałby swoje kółko czytelników, byłby może pupilem swojej publiczności, ale właśnie jako dowcipniś, jako dostawca zabawnej poobiedniej lektury. Karjera „ideowa” p. Słonimskiego bardzo silnie obciąża polski obskurantyzm.

Pan Słonimski lubi przemawiać imieniem cywilizacji. Niejedną „Kronikę” poświęcił pełnej oburzenia krytyce niszycielskich zapędów hitlerizmu w stosunku do literatury „nieprawomyślniej” ze stanowiska Führera. I trudno tu Słonimskiemu nie przyznać racji. Ale również trudno oprzeć się wrażeniu, że sam idzie po linii Hitlera. Dość przeczytać to, co pisze o Irzykowskim. Rozumiem, że p. Słonimski może być zły na Irzykowskiego, że w ferworze polemicznym przesadził, uniósł się, był niesprawiedliwy. Ludzkie. Ale to zupełnie niezrozumienie pracy krytyka tej miary co Irzykowski świadczy dobitnie o dość jednak barbarzyńskim poziomie intelektualnym autora. O Irzykowskim pisze p. Słonimski jak zdzieciniały rzeźnik. Tak pisałby Kaczulski, gdyby umiał pisać. Pan Słonimski „zajął się” „Benjaminikiem”. Naturalnie w książce tej — nieraz istotnie dla Bcy niesprawiedliwie — dostrzegł p. Słonimski tylko paszkwil, tylko porachunek osobisty. Swe „rozważania” na temat „Benjaminika” kończy nasz ideolog w ten sposób: „Irzykowski stał się Benjaminikiem. Stał się cudownym dzieckiem. Nie zdziwiłbym się gdyby zaczął chodzić w krótkich majtkach”. — Ta pointa z majtkami jest istotnie miażdżąca.

Hitler każde palić książki Manna. Ale czy Słonimski nie gardzi tak samo jak Hitler, tylko inną literaturą? Czy nie kwalifikowałby na spalanie (raczej do jakiegoś innego użytku „żeby było zabawniej”) dzieł powieści Sw. Tomasza z Akwinu, Sw. Augustyna czy Bossueta? Przecież to są wszystko — w jego pojęciu — „brechty”.

Nie widzi różnicy pomiędzy temi „brechtami” — a brechtami Brauna. Na co to komu może się przydać? — Czytałem Kronikę (przezornie do zbioru nie załączoną), gdzie Słonimski wymawia się od udziału w propagandzie książki polskiej, bo przecież nie może tak ryczałtem zalecać czytania wszystkich książek. Jest literatura zła i dobra. Nietylko pod względem artystycznym, ale i ideowym. Jedne książki trzeba zalecać, inne zwalczać. — Czyż to nie jest hitlerizm, zastosowany tylko do innej ideologii? Wewnętrzne życie utworu literackiego jest w tej „koncepcji” sponiewierane. Chodzi o pożytek, o propagandę, o rzucanie sugestij z pomocą literatury. Do piśmiennictwa jako dzieła ducha ludzkiego ten sam hitlerowski brutalny, utylitarny stosunek. Tylko że Hitler wprzega ten argument w robotę ideową, którą przy wszystkich swoich wadach coś znaczy, coś wyraża, czegoś dokonywa. A Słonimski czyni to samo w imię jakiegoś prywatnego sekretu ideologicznego, którego istnienia każe nam się wciąż domyślać, ale o którym nic nie umie powiedzieć.

Jedno zadziwia w publicystyce Słonimskiego. To zupełny brak ewolucji. Niedawno czytałem w „Wiadomościach Literackich” wyjątek recenzji teatralnej Słonimskiego sprzed lat dziesięciu. Równie dobrze mogło to być napisane wczoraj. Różnica między jednym a drugim tonem „heretyka” — to tylko różnica tematów. Nowi ludzie, nowe instytucje, nowe plotki. Ale stare narzędzia polemiczne, stare triki, stare „podłoża ideowe”, a raczej jego brak, zamaskowany mętnym frazesem humanitaryzmu. Przypuszczam zresztą, że Słonimski jest zupełnie zadowolony z takiego stanu rzeczy. Na cholerę mu ewolucja, kiedy on i tak wszystko wie? — Nie da się namówić na zmianę taktyki. Czuje, że nie miałby wtedy nic do powiedzenia. Ze swojego (praktycznego) stanowiska — ma rację.

Często porównywa się Słonimskiego z Boyem. Utało się nawet, że idą parą, pod rączkę. Jednak takie zrównanie jest grubo dla Bcy krzywdzące. Można nie zgadzać się z jego ideologią, ale bądź co bądź, ona istnieje. Boy w swojej frywolności feljetonowej opracował jednak szereg zagadnień socjalno-prawnych i wątpliwości nie ulęga, że je na swój sposób, i nieraz ku pożytkowi społeczeństwa, oświetlił. Umie się zorientować na nowych terenach i swoim zdrowym rozsądkiem rozjaśnia nieraz to, co skostniało w labiryntach fachowej nieprzewietrzanej erudycji. To jest jednak odruch zdrowy i — byle przyjmowany krytycznie — pożyteczny. A czy można sobie wyobrazić Słonimskiego, opracowującego jakieś zagadnienie systematycznie? Nie posuwa się nigdy, nie umie się posunąć poza rzucanie sugestij, zresztą, mimo pretensij autora do jasności, mętnych i frazeologicznych.

Czy publicystyka Słonimskiego jest zupełnie bezużyteczna? Tegobym nie powiedział. Ciężkość drobnych zaczepek, wylawia-

nie niekonsekwencji, wykpiwanie niezręczności czy zbyt już jaskrawej obłudy ma swoje znaczenie społeczne. Tembardziej w kraju, gdzie ludzie strasznie się boją żeby ich nie „opisali”. Ale ten drobny pożytek nie usprawiedliwia w najmniejszym stopniu wybujałych pretensij autora. Słonimski nie rozumie, że jest irytujący nietyle nawet przez swą ordynarność, co przez swe kaznodziejskie manjery.

Gdybym chciał się z recenzowanym tomikiem załatwić po słonimskiemu, a nawet znacznie przyzwoiciej, ale w „słonimskim” stylu, poprzestaliby na dotychczasowej charakterystyce. Ale ja staram się wyciągnąć z przeczytanej książki całą jej treść, nawet tę, która nie jest wypowiedziana explicite, której jednak mam podstawy się domyślać.

Zastanawiało mnie zawsze, że jednak w tej płytkiej i napuszonej publicystyce czasem zawibruje myśl, a z poza taniej argumentacji odezwie się intuicja. Może to być ledwie zwrot, porównanie, odległa aluzja. Ale te lepsze miejsca jednak są. W „formule” Słonimskiego ominąć ich nie można. Niedawno czytałem recenzję Słonimskiego z „Hamleta”. I znowu doznałem tego miłego zdziwienia. W tej recenzji jest parę wierszy o „Hamlecie”, z których widać, że autor umie być odbiorcą prawdziwej wielkości twórczej, że chwytą jej fałs. Doznałem uczucia, jakiego doznałbym, spotykając się w obcym kraju, wśród ludzi z którymi mnie nie łączy, człowieka, który przywitał mnie pogodnie w moim ojczystym języku. Bo ja też uważam „Hamleta” za największe arcydzieło ludzkości, większe przez naturalny oddech myśli od nafaszerowanego skrzętnie zbieraną mądrością „Fausta”. I jakże to być może, by ktoś kto pisze, jak Słonimski, równocześnie może tak czuć?

Zdawałoby się: cóż prostszego, niż ten aparat intuicji poetyckiej zwrócić na teren życia, prześwietlić jego promieniami rzeczywistość, zużyć tę siłę motoryczną w dyskusji, w publicystyce? A jednak autor tego nie czyni. A może nie chce tego uczynić? Może czuje, żeby mu to utrudniło pisanie, że czekałaby go na tej drodze ciężka, pełna zawodów, błędów i nawrotów praca? Czyż nie wygodniej spacerować po wygracowanej ścieżce komunali z miną zdobywcy szczytów? — Zapewne. Szczęściem dla Słonimskiego, wartość pisarza mierzy się nietylko tem co napisał, ale i tem co przemilczał. Był miał co przemilczeć.

J. E. Skiński.

CO PRZYCIĄGA CZYTELNIKA?

Wydawnictwo „Pion” ogłosiło konkurs z nagrodami, dotyczący dzieł Henryka Bordeaux. Chodziło o ustalenie na podstawie odpowiedzi czytelników listy trzynastu najbardziej ulubionych książek wspomnianego autora, w tem dwaście powieści. Konkurs dał bardzo ciekawe wyniki. Książką, która otrzymała największą ilość głosów jest nie powieść, a dziełko o podkładzie historycznym, dotyczące prywatnego życia królowej Hortensji „Le coeur de la reine Hortense”, z rodzaju jak to nazywają Francuzi „la petite histoire”.

Ludwik Martin-Chauffier wnioskuje stąd w „Marianne”, że zainteresowanie publiczności do gatunku „biographie romancée” jeszcze nie wygasło.

„Drugi wniosek — pisze tenże — dość melancholijny dla pisarzy, którzy dużo wydali: pozostają oni zawsze, przedewszystkiem, autorami swych pierwszych książek. Pierwsze miejsca w konkursie zajęły powieści, które ugruntowały reputację p. Bordeaux”.

Z niżej podanych przyczyn, które skłoniły odbiorców do przeczytania „Serca królowej Hortensji”, widzimy że pierwsze miejsce zajmuje reputacja, znajomość i swego rodzaju zażyłość czytelnika z autorem. Krytyka we Francji, gra też dość znaczną rolę w wyborze książki: zajmuje 3cie miejsce. A oto różne powody, które kierowali się przy wyborze danej książki czytelnicy, ustawione w porządku ich ważności:

1. Jest to dzieło H. Bordeaux.
2. Przyciągnął go tytuł lub treść dzieła.
3. Czytał krytyki.
4. Poradził mu księgarz.
5. Mówili mu o książce przyjaciele.
6. Zauważył ją na wystawie sklepu.
7. Zwrócił uwagę na ogłoszenia rekl.
8. Uderzyła go okładka książki.

WIECZÓR PRZYBOSIA

Dn. 17 b. m. o godz. 20 w Klubie S (Kamienica Baryczków) odbędzie się wieczór poezyj Juliana Przybosia. Recytują H. Ładosz, R. Bujanski oraz autor, który wypowie słowo wstępne.

Cyfry ilustrujące rozwój P.K.O.

1932 roku		1933 roku	
Gotówka . . .	zł. 203.493.677,15	Gotówka . . .	zł. 241.483.297,93
Lokaty własne „	423.933.887,97	Lokaty własne „	502.921.457,77
Nieruchomości „	35.313.019,22	Nieruchomości „	43.288.572,87
Rezerwy . . .	33.068.825,31	Rezerwy . . .	39.955.271,91
Ilość klientów 1.020.547		Ilość klientów 1.226.993	
Powierzone kapitały zł. 622.854.048,—		Powierzone kapitały zł. 713.499.869,63	
Obrót roczny 22 miliardów złotych		Obrót roczny 26 miliardów złotych	
PEWNOŚĆ — ZAUFANIE			

Na scenach stolicy

„Zwoprosam” — komedia w 3-ach aktach Tadeusza Łopalewskiego w Instytucie Reduty. Reżyserowała Marja Dulębianka.

P. Tadeusz Łopalewski, którego czytelnicy „Pionu” znają z niedawno ogłoszonej prozy, jest niewątpliwie zdolnym powieściopisarzem i pełnym ambitnych poczynań dramaturgiem, który pokusił się o stworzenie poematu scenicznego, rodzaju, rzadko dziś oglądanego na scenie. Nie ten jednak poemat dramatyczny, lecz bezpretensjonalną farsę o dość staroświeckiej technice, oglądamy w podziemiach warszawskiego Instytutu Reduty. I trzeba to od razu, dla wyznaczenia autorowi właściwego miejsca, powiedzieć, że ów „Zwoprosam” (Związek opieki nad rodzinami samobójców) bynajmniej Łopalewskiego nie reprezentuje, że jest to raczej wprawka młodego pisarza, który pisze seminaryjne wypracowanie na temat rozrywki obyczajowej, niż utwór o literackiej wartości.

Przed paru laty grał warszawski Teatr Nowy bardzo interesującą komedię Sommerseta Maughama p. t. „Mam prawo odejść”. Komedia ta rozwiązywała to samo zagadnienie, tworzyła podobną sytuację komediową, nawet ustosunkowanie figur pomiędzy sobą miało charakter podobny — tylko, że Maugham przeprowadzał sceniczną dyskusję na temat prawa do samodzielnego życia u ojca, obciążonego nieczną rodziną do końca, gdy Łopalewski poprzestał na kilku farsowych sytuacjach, nie zagłębiając się ani w podłoże społeczne, ani nie badając przemian obyczajowych rodziny naszych czasów.

Alc nie procesujemy się z p. Łopalewskim o jego „Zwoprosam”. Miał prawo napisać tę nieszkodliwą komedię, a teatr wileński miał prawo ją wystawić, jako dość zręczny utwór wileńskiego poety. Czy przenoszenie tego czysto lokalnego i niereprezentatywnego sukcesu na grunt stolicy byłoby w jakimkolwiek teatrze celowe, to już budzi duże wątpliwości. Ale gdyby uczynił to Teatr Letni czy Mały, można by to jeszcze usprawiedliwić. W Reducie — i to w Reducie w dzisiejszym jej stanie, „Zwoprosam” w żadnym razie nie powinien być się znaleźć.

Korzystamy tu z tej sposobności, aby kilka słów poświęcić podziemiom Reduty. Wielkie zasługi tego teatru z czasów jego pobytu w salach reductowych warszawskich teatrów miejskich, jak również z okresu jego działalności objazdowej po Polsce, dziś sprawadzonej do ram bardzo skromnych, nie mogą być kwestionowane. Obecnie jednak przedstawienia w podziemiach Reduty mogą mieć charakter podwójny: jako teatru prezentującego wyniki pracy szkolnej w Instytucie Reduty, bądź też jako teatru o charakterze eksperymentalnym, któryby na repertuarze bardzo szczególnym, w ramach bardzo szczególnego widowiska dawał jakieś próby niezwykłe interesujące i prowokujące dyskusję.

Trzeba stwierdzić, że teatr w podziemiach nie jest ani jednym, ani drugim. Ze gdyby nie jego szczególna kameralność, stworzona przez umieszczenie przestrzeni sceniczej bez żadnego odgraniczenia w jednym końcu sali, a widowni w drugim, to mielibyśmy do czynienia z zwykłym teatrem realistycznym bez indywidualnego oblicza. Jako teatr szkolny — Reduta nie daje nam wiele. Owszem — p. Kunicka, jeżeli występuje na scenie od niedawna, jest niewątpliwie siłą obiecującą. Ale bardzo dobra gra p. Kuniny i mniej dobra p. Kuncewicza chyba nie należy do kategorii popisów szkolnych. Zaś praca inscenizacyjna p. Dulębianki, nosząca wszystkie cechy jej subtelnej kultury duchowej i wielkiej aktorskiej intuicji, jest raczej normalnym trudem reżysera kameralnego, niż pracą pedagogiczną.

O teatrze eksperymentalnym w Reducie lat ostatnich nie może wogóle być mowy. Jako forma sceniczna Reduta nie usiłuje się posuwać naprzód, częstokroć zaś cofa się wyraźnie wstecz. Jest to ciągle subtelny lub mniej subtelny realizm, taki, jaki widzimy w lepszych i gorszych teatrach całej Polski, o ile oczywiście opiera się o repertuar choćby tylko tego typu, jak „Sprawa Moniki”. W tym najlepszym wypadku otrzymujemy w Reducie przynajmniej jedną wartość o cha-

rakterze wyjątkowym: ową sympatyczną kameralność, możliwość wysłuchania całego tekstu bez reszty i ograniczeń. Gdyby jednakże wyzyskiwano tę kameralność dla repertuaru, któryby był na tym gruncie przynajmniej takim eksperymentem jak np. „Hamlet” w Teatrze Kameralnym. Ale „Zwoprosam” tylko traci w podziemiach Reduty — nie mogąc być subtelnym, staje się nieco pretensjonalnym.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Borys Pilniak. Ou Key. Przekład S. Pollaka. Wyd. Mewa.

Podróż do Ameryki stała się jakgdyby ostatecznym egzaminem pisarskim. I niema roku, by któryś z luminary literatury europejskiej nie próbował zmierzyć się z Nowym Jorkiem i Los Angeles, by niezaradną próbą syntetyczną udowodnić, ile jest ogromnego materiału do przetworzenia w sztuce i jak bardzo rozmiary autentycznego życia przewyższają fantazję pisarza. Podróż do Ameryki stała się dla wielu wędrowców literackich ową upragnioną tajemnicą, bez której rozwiązania niema się poczucia pełni, całkowitej wiedzy o świecie i człowieku.

Lecz wyniki pielgrzymek amerykańskich przynoszą przeważnie rozczarowanie. Ani relacja Moranda czy Kisch, ani wreszcie nowa książka Pilniaka, wszystkie obciążone olbrzymią ilością materiału obserwacyjnego, nie potrafią w najmniejszym stopniu wywołać w nas wizji tej Ameryki, o której mówi twórczość Dreisera i Upsona Sinclaira.

Obserwatorzy polujący na kontrasty, na sensacje powszedniości, na wymowę cyfr „amerykańskich” ani przez chwilę nie zbliżają nas do człowieka, do tajemnicy amerykańskiej maszyny przetwórczej, urabiającej nową psychikę Amerykanina. A przecież Amerykanin to nie tylko ów podpisujący czek tysiąc dolarowy, czy ów standaryzowany typ self-made-man, czy wreszcie fizyczny typ znany z ekranu filmowego. Obserwatorzy polują na linie ujednostajnienia, na wyprowadzenie profilu zasadniczego, na definicję pod którą zmieści się wszystko co amerykańskie, podczas gdy my, czytelnicy i odbiorcy wyczuwamy komplikację, jej rozrost, ogromne różniczkowanie się i co najważniejsze, znajdujemy ślady tej świadomości na stronach sprawozdań naszych specjalnych wysłanników-podróżników, bez konsekwencji. Człowiek pozostaje w cieniu, na czoło wysuwa się jego dzieło, rzecz widzialna i dotykalna, przerstająca pozornie swymi rozmiarami ciało i duszę swego twórcy.

Borys Pilniak, świetny prozator sowiecki, pojechał do Ameryki z gotową miarą i szablonem kontrastowym. Pilniak nie jest pierwszym podróżnikiem rosyjskim na większą skalę, jadącym by przymierzyć Rosję do Ameryki. Jednym z najlepszych reportażystów (choć wtedy nie znano jeszcze tego terminu) o Ameryce jest książka Doroszewicza, wydana jeszcze przed wojną europejską. Pilniak jest jakgdyby kontynuatorem zainteresowań tego poprzednika. Ma przed sobą do rozwiązania przedewszystkiem tajemnicę Nowego Jorku, miasta-symbole. Szuka kluczy do zagadki w napięciu do ostateczności tempie życia, w charakterze rozrywki amerykańskiej, w rozmachu publicysty-reklamy. Truizm dolarowy, truizm rekordowy, truizm ou-key, służy Pilniakowi do przeprowadzenia wniosku o systemie urabiania człowieka w Ameryce, o metodach, jakie kapitalizm amerykański stosuje dla uzyskania taniej i milczącej siły robotczej.

Pilniak nie poprzestał na Nowym Jorku. Pojechał również do ośrodka przemysłu filmowego i pokazał przebieg wytwarzania filmu, od początku, pomysłu literackiego do realizacji, ekranu. Był również na prowincji amerykańskiej, skąd wywiózł jedyny, konkretny wniosek: parafianśczyzna; był również w Wielkim Kanjonie. Lecz celem tak jak początkiem wędrowki był Nowy Jork. Tam pisarz spotyka się oko w oko ze zdobyczą amerykańską, z wynikiem ustroju i pracy, z procentem od dolara. Ten świat jest mu obcy i wrogi, jego t. zw. indywidualizm jest pokrywką cyfry dolarowej, a cały mechanizm i treść życia procesem trwania przy rozkładającym się systemie.

Lecz z tem wszystkim jest wędrowka Pilniaka wędrowką obok Ameryki, a ledwie zaczęta czy naszkicowana rozmowa z Dreiserem, w końcowym rozdziale książki przesłania wszystkie doświadczenia podróżnicze i prosi o ciąg dalszy. Ten fragment jest silniejszy od marksistowskiej analizy rozwoju Ameryki.

Może czytając równolegle, rozdział przyrodziany, Pilniaka i Dos Passosa, udałoby się stworzyć wizję Ameryki, jakiej nam nie dała dotąd żadna książka nowego Kolumba, udającego się na odkrycie nowego świata.

Przekład p. Seweryna Pollaka na dobrym poziomie.

(G.)

Reduta jako typ artystyczny zaczęła się od Rittnera i Szaniawskiego i dziś znajduje się znów w atmosferze twórczości tego typu. Zanim zdobędzie się na nowy akt twórczy, niechże pozostaje przy tym repertuarze — wszelkie wycieczki bowiem na teren najbardziej nawet swojskiej farsy, muszą tylko de-maskować — brak wewnętrznej treści.

W. Z.

Kalendarjum astronomiczne I. K. C.

Astronomia obecnie może więcej, niż kiedykolwiek, wzbudza zainteresowanie szerokiej warstwy naszego społeczeństwa. Dzieje się to dzięki fenomenalnym zdobyczom tej nauki, które z takim talentem zostały w ostatnich latach spopularyzowane przez wybitnego astronoma angielskiego J. Jeans'a w szeregu książek przełożonych także na język polski.

Pośród nielicznej u nas literatury, poświęconej najnowszym postępom astronomii, należy wymienić Kalendarz Ilustrowanego Kurjera Codziennego, który w formie dostępnej, barwnej, a zarazem ścisłej, podaje w objętości prawie dwóch arkuszy druku aktualne wiadomości na dany rok z tej dziedziny wiedzy.

Kalendarz I. K. C. jest obecnie jedynym w języku polskim autorytatywnym źródłem danych astronomicznych, uwzględniającem ponadto specjalnie zjawiska niebieskie widoczne na ziemiach polskich. W ten sposób wypełnia on chociaż w drobnej części dotkliwą lukę, jaką stanowi brak oficjalnego kalendarza astronomicznego w Polsce. Część astronomiczną Kalendarza opracowuje fachowo już od szeregu lat dr. J. Gądomski, astronom obserwatorium Warszawskiego.

W siódmym z rzędu roczniku, który się właśnie pojawił, znajdujemy przedewszystkiem tak potrzebne dla wielu celów (np. dla lotników) momenty wschodu i zachodu Słońca i Księżycy, obliczone z dokładnością do jednej minuty na każdy dzień roku dla Warszawy. O ile idzie o inne okolice Polski, to osobna tabelka pozwala z łatwością obliczyć momenty wschodu i zachodu Słońca dla: Gdyni, Krakowa, Lwowa, Poznania i Wilna. Dobrze uzupełnienie powyższych danych stanowi tabela oraz wykres czasu trwania u nas, w różnych porach roku, zmrzoku cywilnego oraz astronomicznego. Szczegółowo i obszernie zostały podane okoliczności, towarzyszące zaćmieniu Słońca i Księżycy w r. 1934, oraz widzialność planet w Polsce. Dla osób, interesujących się zegarami słonecznymi, podano w tekście sposób, umożliwiający w każdej porze roku odczytanie ze wskazówek takiego zegara dokładnego czasu, obowiązującego w Polsce. Ciekawe są dane, dotyczące się czasów, używanych na ziemiach polskich oraz wykaz całkowitych zaćmień Słońca, jakie miały i będą miały miejsce w Polsce, począwszy od r. 600 po Chr., aż po r. 2161. Z prawdziwym zainteresowaniem czyta się fantastykę, jakkolwiek zupełnie ścisły, opis wyglądu nieba gwiazdowego na innych planetach, tak odmiennie od nieba ziemskiego. Całość ilustrowana odpowiednimi fotografiami i wykresami, świadczy o wysokim talencie popularyzatorskim dr. J. Gądomskiego, znanego już w Polsce autora licznych artykułów, poświęconych szerzeniu nauki o niebie.

Należy z całym uznaniem podkreślić walory tego wydawnictwa, które, pod wytrawnym kierownictwem redaktora J. Grzywińskiego, nawiązało z oficjalną astronomią tak pożyteczny kontakt.

Prof. Michał Kamiński.

Bolesław Miciński. Chleb z Gietsemane.

Biblioteka Z. W. 1933.

Pierwszy mały, liczący zaledwie 24 str., zbiorek wierszy młodego autora świadczy, że mamy do czynienia z organizacją szczerze poetycką.

Wpływy, które dają się łatwo wykryć w wierszach Micińskiego, nie są werbalistycznym naśladownictwem, a wynikają z wrażliwości na piękno słowa i z podświadomego ulegania tonacji uczuciowej poprzedników i mistrzów, czego zresztą nie uniknął żaden młody poeta. Przytem uleganie dobremu wpływom jest zawsze korzystniejsze od wysilania się na oryginalną manierę, która najczęściej po powierzchownej nawet analizie obnaża zwyczajną, sztuczną pływiznę. Prawdziwy talent łatwo odnajdzie własną drogę i przełamie wpływy. Micińskiemu echa najlepszych wierszy Kasprowicza i Wyspiańskiego nie przynoszą ujmy i nie zmniejszają wartości jego wierszy. Głęboko religijny stosunek do świata sprawia, że poeta pozostaje pod urokiem obrazów, przenośni i słownictwa biblijnego. Bardzo poetyckie są jego parafrazy biblijne. Wyróżniają się wiersze: Hymn, Dom, Na śmierć Achilla, Przemiany, Pieśń nad pieśniami. Rytmika Micińskiego

naturalna, szeroka, niemiaraowa, niezrętnie zwaną, ściśle się wiąże z tonacją uczuciową utworów i wypływa z tego samego samorodnego impulsu, z którego powstały jego wiersze.

Józef Jankowski. Dwuwiersze (pięć setek). F. Hoiesick. Warszawa 1934. Sonety wstępne. F. Hoiesick. 1934.

Wiersze p. Józefa Jankowskiego — to w gruncie rzeczy twory nie poety, a savanta, człowieka o dużej wiedzy i kulturze wewnętrznej. To też nie znajdujemy w nich zbyt wielu miejsc, któreby raziły nasze poczucie smaku estetycznego. Zdają się być kulturalną rozrywką, czy wycieczką umysłową na marginesie innych zainteresowań autora. Niedaleko odbiegając od wzorów romantycznych i młodo-polskich, odznaczają się tą przeciętną rutyną, która nie potrafi dać żadnych nowych wartości w dziedzinie piękna. Jeszcze jedna cecha, która zmusza nas do osądu, że jest to raczej wyrozumowany sposób rozrywki umysłowej, a nie twórczość, płynąca z nieprzpartego musu wewnętrznego, — to metodyczność w pisaniu i zmechanizowanie formalne, czego świadectwem jest te pięć setek aforystycznych dwuwierszy (a to już, podobno druga seria), noszących charakter poczęści fraszek, poczęści zaś wzorowanych na mickiewiczowskich dwuwierszach. Niektóre z tych dwuwierszy, naprz. cykl Pauca Physicorum, przypominają mi wiersz, jaki napisał sobie kiedyś jeden z moich przyjaciół przed egzaminem z historii, celem spamiętania kolejności następowstwa królów i ważniejszych faktów. Przykłady: „Wodór — początek elementów”.

„Wodór zaczyna — z jednym jądrem ciałem (Protonem) i dokola z jednym elektronem”.

lub: „Prawo ilościowe Moseley'a dla elementów” — „Pierwiastek kwadratowy częstości drganiowej Widm: ta jest funkcja liczby atomowej”, i t. d. Jednym słowem odkrycia w dziedzinie fizyki „wierszem opisane”.

Podobnie dowodem naiwnej metody w pisaniu wierszy są te sonety od jednego do piętnastogłoskowego, niepozabawione zresztą kultury i smaku, ale czasami dające wręcz efekt parodii mowy ludzkiej. Naprz. Sonet „Tam”: „Tu-Sęp, Strzęp Tch: Z kęp Snu Zlu. Wstęp: Tam Łask Błam: Bram Błask: Klask”, lub „Lola śpiewa”: „Lola, Śpiewa: Drzewa, Pola, Rola, Plewa, Mewa, Dola, Mucha Glucha Ucha Zwoli: Loli Słucha”.

Włodzimierz Zelechowski. W cieniu brzoź i kominów. Skład gł. Gebethner i Wolff. 1934.

Wiersze zebrane w tym tomiku nie wykazują żadnych specyficznych zalet. Obserwacja zjawisk, przeżywanie ich znajdują wyraz w formie, która waha się w granicach od przeciętności do nijakości, chwila mi tylko wychylając się ponad ten poziom.

Pierwsze cykle tomiku: Kopalnia, Hutn, Zarozumiałe maszyny — to wypracowania wierszem na tematy śląskie i zagłębiowskie. Autor widzi świat przez okulary gazetowych, obiegowych przenośni, idzie po linii najmniejszego oporu, nie trudzi się nad znalezieniem własnego stosunku do wrażeń. W niektórych wierszach z cykłów: w mieście i za miastem, oraz tęcza nad brzoźami — znać pewien postęp. W „szkicu pejzażowym”, w „Refleksji pejzażowej” np. wychodzi autorowi na dobre przynajmniej ścisłość i staranność opisu. Są to też jednak tylko wprawki opisowe. Ginie w nich najistotniejszy czynnik poezji — wzruszenie. Naogół wiersze ostatnich dwu cykli są lepsze — w sumie jednak gadałtliwa przeciętność.

Władysław Sebyla.



NA EKRANACH

KLUB DZENTELMENÓW

(Kino Palace)

Na czele tego klubu stoi oczywiście Clive Brook. Słusznie mu się to należy — jest niewątpliwie królem dzentelmenów. Jego postać, sposób noszenia się, wyraz twarzy, profil czaszki, dystynkcja i t. d. i t. d. są jedyne w swoim rodzaju. Poza to gra niezwykle opanowana, spokojna i skuteczna nadają kreowanej roli prostotę i naturalność wprost wyjątkową. Jako agent czy włamywacz dzięki tym zaletom stępi ostrości drażliwych sytuacji i ról, nawiązuje nie wielkiej sympatii między ekranem a widownią, podbija ją, uwodzi, zniewala. Właściwie Booka szkoda na takie bądź co bądź tanie w ogólnym efekcie filmy, mimo, że są one zrobione pierwsorzędnie. Np. „Klub Dzentelmenów”. Trudno doprawdy znaleźć w tym obrazie błąd, nie logiczności, puszczania. Całość zwarta, przemyślana, rozwijająca się swobodnie i rzeczowo. Wszystko potrzebne, nic na darmo i bez celu. Zgranie aktorów wyjątkowe. Jakby dobrze wyszkolona orkiestra wykonywała znakomicie zharmonizowany utwór. Zaden instrument aktor nie zawodzi: jest zawsze we właściwym czasie i miejscu. Znika, aby ustąpić innemu. Gra zespół i Clive Brook tylko tem się wyróżnia z pośród innych, że wiemy o nim już z dawnych lepszych jego filmów. Malarsko film jest potraktowany szczególnie pieczołowicie. Ciemne, zamazane, jakby przemglone pejzaże ulic z omotanymi w kokony srebrnego oparu latarniami są zrobione z pierwszorzędną maestrią, wyczuwaniem i smakiem. Przypominają jakieś gdzieś widziane świetne akwaforty, oddane z niewątpliwym talentem i umiejętnością. To nurzanie się we mgłę i cieniach pulsuje tajemniczością, pozwalając jednocześnie scharakteryzować Londyn. Zbiega się więc tutaj w tem plastycznym podejściu parę spraw ważnych a istotnych zarazem: sensacyjność kryminalnego filmu zyskuje na napięciu i miejsce akcji jest podkreślone, a wreszcie artyzm dochodzi do głosu, spajając wszystko w jednolitą całość.

Jeszcze na jedno chcielibyśmy zwrócić uwagę. Rzecz jest bardzo subtelna i poprostu wyrafinowana. Każda scena, a jest ich mnóstwo, między policją a włamywaczami, zakończona jest pointą lekkiego, musującego humoru. Może to jest pocałunek i policzek za skradzenie tego pierwszego otrzymany, może to być grymas twarzy tylko lub poruszenie okiem. Ale pointa przez cały czas działa w tym charakterze niezmiennie, uparcie, w każdej okoliczności, lekko, delikatnie, zwinnie. Bez błazeństw a z humorem. I logicznie.

Podkreślając to wszystko dość szczegółowo i obszerniej niż zazwyczaj, chcielibyśmy zaakcentować postęp sztuki kinowej, która nawet w tak błahych filmach, filmach służących wyłącznie do miłego spędzenia czasu przez widza, w filmach bez idei, tendencji i pasji, potrafi jednak wykazać wiele artystycznych wartości, kultury i umiejętności reżysera, aktorów i scenarjusza. Zadnych cudów, ale jest harmonia — konieczny warunek dzieła sztuki.

KATARZYNA WIELKA

(Kino Stylowy)

Realizacja Al. Kordy, czyli tego samego reżysera, który robił Henryka VII, poszła znów w kierunku kostjumowo-wnętrzym. o czym już wspominaliśmy z racji powyższego filmu. Ale o ile tam ta strona wyglądała ciekawie i potraktowana była wyczerpująco i ze znanstwem, to tutaj spawa przedstawia się znacznie gorzej. Rosji tak łatwo podrobić się nie da. Tę trochę śniegu i chóry z awiesistami basami, parę rubaszek i kolokoly — to za mało. Akorzy am rykańsko-angielsko-niemieccy — zupełnie egzotyczni: wyglądają na kanwie historycznej rosyjskiej epoki. Za bardzo salonowo potraktowano wszystkie partie, chociażby te fragmenty koszarowe. Buduar i posiadzki jak lus ro, salony sale, schody o skomplikowanych kandygnacjach, wszystko wyszlifowane, wyglancowane, wymuskane. A w ramach tego epizodu życia Katarzyny II, t. j. małżeństwo jej z Piotrem, którego zupełnie nieprzekonywująco zagrał młody Fairbanks. Elżbieta Bergner też żadnych cudów nie robiła. Bażo współcujemy jej, że musiała grać Niemkę, wolałaby zapewne zapomnieć o tym narodzie, ale trudno. Zresztą grała Niemkę dobrze, która dopiero potem się stała wielką. Mała więc wdzięczna rolę czułej małżonki, ciężko odtrącającej. Jednym słowem, mimo to. Szkoda, że autor scenariusza i realizator nie dali Elżbie Bergner okazji, aby zakwitła jakimś naprawdę wspaniałym kwiatem. Wykazali, że są kiepskimi ogrodnikami. Używają poprostu za dużo wody.

I.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCJI

POEZJE

Antoni Madej — Twarz. Nakładem Związku Literatów w Lublinie 1934.

Antoni Madej. — W grudzie ziemi. Nakładem Związku Literatów w Lublinie 1934.

Stanisław Czernik — Przyjaźń z ziemią. Biblioteka Wielkopolska. Tom V. Rok 1934.

Fr. Arnsztajnowa i J. Czechowicz — Stare kamienie. Lublin 1934.

Emil Zegadłowicz — Pokosy. Wybór poezji 1907 — 1932. Opracował Kazimierz Foryś. Wadowice 1933.

Stanisław Saklak — Zielony świat. Warszawa MCMXXXIII.

Eugenjusz Zytomirski — Bez w samolocie. Poezje. Literacki Instytut Wydawniczy. Warszawa MCMXXXIV.

Adam Bielecki — Akwarjum ulic. Gebethner i Wolff. Kraków 1934.

Edward Szymański — Do mieszkańców Marsa. Warszawa 1934. Skład w Księgarni Robotniczej.

HISTORIA LITERATURY, KRYTYKA, ESSEJE:

Leon Pomirowski — Walka o nowy realizm. 1934. Gebethner i Wolff.

Leon Pomirowski — Nowa literatura w nowej Polsce. 1934. Gebethner i Wolff.

Adolf Nowaczyński — Tylko dla kobiet. Rój 1934. Serja nowa.

Jan Parandowski — Odwiedziny i spotkania. Rój. 1934.

Stanisław Piasecki — Prosto z mostu. Rój. 1934.

W najbliższym numerze ukażą się między innymi:

Dr. O. Górki — SKRZETUSKIEGO (?) SPOD ZBARAŻA RZECZYWISTE POCHODZENIE I ROLA.

Dr. B. Suchodolskiego — W SIDŁACH PRODUKTYWIZMU.

M. Kuncewiczowej — FASON.

K. Wyki — CHOROMAŃSKI I GUNNARSSON.

K. Czachowskiego — IRZYKOWSKI NIEZNANY.

„ŚWIAT”

w najbliższym numerze rozpocznie publikację
WIELKIEJ ANKIETY
pod tyt.

ARTYŚCI MÓWIĄ O SOBIE

Wypowiedzą się w niej najwybitniejsi plastycy polscy, poruszając niezmiernie ciekawe zagadnienia stosunku sztuki do życia, kryzysu w sztuce, form i treści, etc. Czytelnicy „Świata” dowiedzą się, jak artyści nasi mieszkają, jak pracują, jak odpoczywają po pracy, co myślą o akademiach, muzeach i podróży zagranicę. W długich, szczerych rozmowach, które z ramienia „Świata” przeprowadzą z artystami wybitna historyczka sztuki, pani dr. Puciata Pałowska, dali swe życiowe i artystyczne credo: Jan Cybis, Józef Czapski, Tytus Czyżewski, Wojciech Jastrzębowski, Henryk Kuna, Tadeusz Pruszkowski, Władysław Skoczylas, Henryk Stażewski, Józef Tom, Waław Wąsowicz, Kamil Witkowski i Edward Wittig.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Hurtownia

dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc. w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarniom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE DLA KSIĘGARZY P. T.

„KURJER KSIĘGARSKI”.



WIELKA ZNIŻKA CEN!

Wydawnictwo Księgarni i Czytelni G. SZYLLINGA

Warszawa, Szpitalna 10. Tel. 2-59-69

Burnet H.		
Mala Księżniczka, kart.	10.—	6.—
opr. plót.	12.—	8.—

Ciechanowiecka		
W Sercu Sahary, br.	16.—	10.—
opr. plót.	20.—	15.—

Deil. — Lampa na pustyni		
z ang. br.	9.—	4.50

Or-Ot A. — Abecadło Wolnych Dzieci,	br.	3.50	2.80
-------------------------------------	-----	------	------

Rosinkiewicz.		
Przygody Lotnika, kart.	5.80	3.80

Sewell. — Mój kary,		
przekł. z ang. kart.	6.80	4.—
opr. plót.	10.—	7.—

Ostatnie egzemplarze nakładu są do nabycia po cenach zniżonych we wszystkich księgarniach.

Taniej! Wcześniej! W domu!

WIELKI DZIENNIK STOLECZNY

EXPRESS PORANNY

w prenumeracie

12 groszy zamiast 20

MIESIĘCZNA PRENUMERATA 3 zł. 60 z dostawą do domu wczesnym rankiem

Od 18 lutego — sensacja literacka:

nowa powieść IRENY KRZYWICKIEJ — „WALKA Z MIŁOŚCIĄ”

PREMIUM dla NOWYCH PRENUMERATORÓW:

Już od 18 lutego

otrzymywać będzie codziennie, rano, w domu EXPRESS PORANNY każdy, kto obecnie zamówi telefon 693-72 lub 802-40) prenumeratę na miesiąc marzec.

Prenumeratę w kwocie 3 zł. 60 gr. za miesiąc marzec można wpłacić w dniu 1-ym marca

Prenumeratę zamawiać można bądź telefonem (693-72 lub 802-40) bądź osobiście w Adm. nistracji EXPRESSU PORANNEGO

Marszałkowska 3/5/7, Jasna 10.

Redakcja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19. Konto. P. K. O. Nr. 18.590
Administracja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście.

Redaktor: Tadeusz Świącicki

Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Julian Zielski

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10